MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 23 WARSZAWA, 2 CZERWCA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

WIARA W ŻYCIE

W JEDNEM z czasopism ilustrowanych w Warszawie zamieszczono w tych dniach portret Szymona Konarskiego z właściwem u dołu nazwiskiem, ale redakcja, popisując się erudycją, dała u góry nadpis następujący (dosłownie): „200-lecie reformatora szkolnictwa polskiego w Wilnie“.

Zdarzenie to daje trochę do myślenia. Redakcja pisma literackiego, przeznaczonego dla inteligencji, w XX wieku już się nie orjentuje w nazwiskach i zdarzeniach XIX i XVIII wieku. Słyszała coś o Konarskim, reformatorze szkolnictwa, ale już nie wie, że to był Stanisław i pijar, czytała gdzieś w kalendarzu martyrologicznym, że przypada w tym roku jakaś rocznica Konarskiego. Ale czego? Kojarzy się Wilno, to znów szkoły... Jakbym widział młodzieńca dziennikarza, gospodarującego w Polsce dzisiejszej, kiedy patrzy na fotografję portretu Konarskiego Szymona:

— „Jakiś gość nie ladajaki“ — dziwuje się, jak Gospodarz w „Weselu“.—„Kto to taki, kto to taki?...“ Kajdany ma na sobie, twarz młoda z brodą... Dziwny reformator szkolnictwa...

Mamy w tem zdarzeniu przykład, jak wiele się zmieniło w umysłowości Polski od czasów wojny. Któżby w tej sferze przedtem nie wiedział, że Szymon Konarski stracony był w Wilnie w r. 1839 za organizowanie nowego powstania w celu wyjarzmienia Polski, któżby nie widział w nim poetyckiego symbolu martyrologji polskiej? Któżby znowu w Warszawie nie szczycił się Konarskim pijarem, twórcą szkolnictwa narodowego? Pomimo pięknych szkół już polskich, pomimo nauczania historji ojczystej wszystko zatarło się w pamięci jak sen, a cała uwaga skupiła się na rzeczywistą rzeczywistość i na najbliższe jutro. Niema miejsca na wspominki i na symbole. Któż wspomniał w maju o setkach poległych przed trzema laty? Tem mniej się pamięta, kto i dlaczego zginął w Wilnie przed laty dziewięćdziesięciu.

Zabrakło miejsca na sentyment historyczny i na symbolikę, gdy narzuca się rzecz sama żywa, której imać się trzeba nie uczuciem i wyobraźnią, lecz przetwarzającemi rękoma. Dlatego zabrakło miejsca na literaturę, dającą upust potrzebie symbolu. Proces biologiczny w Polsce jest teraz tak przemożny, że ludziom nie tylko nie zależy na symbolu, ale nawet na teorjach moralnych i wychowawczych. Nikt nie wnika w to, co robi z wychowaniem współczesny minister oświecenia, tem mniej skupienia wywołuje nazwisko Stanisława Konarskiego. Zapewne—są pewne cofnięcia się w sferze czysto intelektualnych zainteresowań. To samo — w literaturze. Ale czy warto płakać po blichtrze literackim, który tak łatwo zatracić?

Takie przemiany w usposobieniu polegają nie tylko na tem, że przychodzą nowe zadania. Polegają one na tem także, że przychodzą nowi ludzie. Popełniamy błąd, jeśli przedstawiać sobie będziemy, że ci sami ludzie, porzuciwszy dawne wątki, zajęli się nowemi. Tak nie jest; ludzie dawni wymierają lub idą w cień ze swemi zainteresowaniami, a przychodzą nowi, nie to że młodzi, ale z nowych sfer.

Darmo Warszawa żałuje swych przewag literackich. Nie zdaje sobie sprawy, że dopiero teraz zaczął się w tej połaci kraju na dobre proces wymiany ludzi w sferze oświeconej. Urywa się tradycja, bo nowi ludzie zaczynają z nowej beczki. Przechodziliśmy to już w zaborze austrjackim. Szkoły polskie w ostatnich lat dziesiątkach XIX w. wydobyły tam na wierzch całkiem nowe nazwiska, pyszniące się swem pochodzeniem ludowem. Zaroiło się od nich w całej Polsce wolnej, oni bowiem są urzędnikami fachowymi, oni wzięli w ręce obrządzanie machiny państwowej, bośmy w innych dzielnicach nie mieli dostatecznej ilości takiego materjału. Galicja, tak złośliwie nieraz przez Warszawę traktowana, tem różniła się od zaboru rosyjskiego, że miała już nową inteligencję nie ze szlachty. Za-

pewne był to inny gatunek, ale czy Galicja nie dokonała wielkiej roboty, czy nie dorabiała się dobrego typu Polaka nowoczesnego? Warunki, które sprzyjały w zaborze rosyjskim wybujaniu umysłowemu nielicznych jednostek, były bardzo niekorzystne dla całości. Hodowaliśmy arystokrację ducha na fakcie ogólnego zastoju. Dziś wszystko ruszyło, jak w fermencie: coś idzie w dół, wiele w górę. Poziom się nie tyle obniża, ile równa. Czy oddawać się rozpaczy? Nie—w życie trzeba wierzyć.

Miarą poziomu obowiązującego jest dla nas Wielkopolska, pomimo że nie słynie ze splendorów sztuki i literatury. Tam już dawniej i gruntowniej dokonało się unowożytnienie społeczeństwa. Dokonało się w bardzo ciężkich warunkach, kiedy nie mogło być mowy o nadbudowywaniu luksusowych szczebli cywilizacji. Ale czy przez to Poznańskie jest mniej wartościowe cywilizacyjnie od Warszawy i wschodu polskiego, które te szczeble miały, a pozostawały w bierności społecznej? Tak nie jest. Na długie lata Poznańskie będzie dla nas poziomem, który zdobywać będziemy mozolną pracą, żeby się wyrównać.

Na sprawę rozwoju dziejowego trzeba patrzeć okiem gospodarskiem. Wartość gospodarstwa rolnego poznajemy przecież nie po hodowli róż, ale choćby po hodowli lasu. To, że literat, nie umiejący zresztą objaśnić wizerunku historycznego, będzie robił nacisk na róże, nie powinno nas zbijać pod tym względem z tropu. Wartość gospodarska cywilizacji, nawet w najszerszem znaczeniu, poznaje się po człowieku średnim, który chce pracować. Bo w tem chceniu jest z d r o w i e, a gdzie jest zdrowie, tam są instynkty dziejowe w porządku. A to jest grunt cywilizacji.

Nie tu miejsce na wywód, jak nasze ziemie zachodnie ocaliły starą polską cywilizację i jednocześnie się unowożytniły. Dość stwierdzić fakt, że zawdzięczają to wytworzeniu mieszczaństwa i dobrobytu. Mają dziś one miasta polskie. W innych dzielnicach Polski trzeba dopiero dojść do tego szczebla. Póki się do tego nie dojdzie, centrem moralnym Polski pozostanie Poznań, a Warszawa będzie tylko stolicą oficjalną.

Poznań umocnił tę rolę swoją łatwością wysiłku, z jakim dokonał dzieła wystawy obecnej. Bo o cóż chodzi w rozwoju społecznym, jak nie o siłę organizacyjną w wykonywaniu dzieł zbiorowych? Poznań znalazł tę siłę w inicjatywie i pracy prywatnej obywatelskiej. Państwo jest tylko wystawcą i udziałowcem. Na czele zarządu wystawy — rzecz ciekawa — stoją ludzie przeważnie usunięci z urzędów państwowych, jako ludzie niezdatni...

Jest więc jakaś siła, z łona społeczeństwa samorzutnie się dobywająca do czynu. Myśl twórcza ujawniona w takiej pracy w dalszym rozwoju przerzuci się z łatwością na najwyższe szczeble twórczości duchowej: to tylko kwestja czasu. Ale gdzie całość choruje na brak zespołu, na niemożność organizowania się w siłę tworzącą, tam żadna literatura nie ocali życia dziejowego.

Chodzi tutaj o rewizję popularnych w świecie inteligencji wielkomiejskiej kryterjów cywilizacji. Kryterja te są często dziecinne i lekkomyślne, bo nie oparte na wierze w życie. Tracimy miarę rzeczywistości, jeśli przestaniemy orjentować się w i n s t y n k t a c h życia narodowego. Fałszywi prorocy uczą nas umyślnie wiary w jakąś magję doktryny i dowolnych haseł. Tymczasem niema myśli twórczej bez oparcia o głuchą pozornie podświadomość instynktów historycznych. Poznańskie, czy Śląsk są niezawodne dla Polski nie dlatego, że napisały tyle a tyle powieści i poezyj, lecz że w potrzebie wiedzą, co robić. Powstanie — to powstanie, wystawę — to wystawę. Wiedziały z instynktu, jak tworzyć miasta, jak oprzeć się Niemcom, jak oprzeć się Żydom i jak pracować. Tam w instynktach, wytworzonych tysiącletnią kulturą, była już myśl o Polsce całej i mocnej, ta sama myśl, którą dawniej dawał z siebie Chrobry.

Ludzie wyobrażają sobie nieraz, że myśl rodzi się gdzieś na papierze, czy w gabinecie, a potem ogół ją wykonywa. Przyzwyczailiśmy się bowiem do form myślowych, wykrzykiwanych w hasłach t. zw. inteligencji. Dla przykładu dosyć przytoczyć to, co się dzieje w obyczajach. Gdyby one zależały od dyktanda inteligencji, dającej łatwo się ogłupiać modzie, to rozpasanie obyczajów szerzonych przez dancingi doszłyby do potwornych rozmiarów. Nikt ich nie zabraniał, a jednak kładzie im koniec zdrowy sens społeczeństwa. Nikt nie chce już słuchać dzikich melodyj *jazzband*'u—wracają dawne upodobania muzyczne. To samo w dziedzinie politycznej. Ileż zachęty otrzymuje społeczeństwo z góry, aby się bratać z Niemcami. Polska jużby dawno była w niewoli niemieckiej, gdyby nie instynkty mas, które nie cofają się przed walką i są wskazówką dla polityków. Widzieliśmy niedawno, jaki odruch w całym kraju wywołały wypadki w Opolu i jakie było niezadowolenie z tego odruchu wśród pisarzy i kombinatorów politycznych.

Jednem słowem istnieje niezależne od przemijających na górze wyobrażeń życie narodowe. Manifestuje ono swoją pracę, swój patrjotyzm i swoją myśl na obecnej wystawie w Poznaniu. Dla tych wszystkich, którzy się zakłamują gestami, wskazując na siebie jako na źródło twórczości, a niezdolni są uznać objektywnie pracy duchowej narodu, wystawa ta — muszą to przyznać—jest niespodzianką. Jeżeli chodziło o udowodnienie światu i sobie, że Polska jest jednością, i to jednością żywotną i twórczą, to trud tego udowodnienia wziął na siebie Poznań, ten właśnie Poznań, który w milczeniu, nie garnąc się do areny popisowej, pracował, a przez „radosnych twórców" był niechętnie widziany. Ba, nie wszyscy wierzyli, że jest Polsce niezbędny! Wszystko chyba zrobiono tam, gdzie się potrzaskuje batem i frazesem, aby narodowi odebrać wiarę w przyszłość, aby go rozbić i obezwładnić. Skromnemu Poznaniowi zawdzięczamy czyn, manifestujący żywotność narodu i budzący wiarę w życie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WALKA O GÓRNY ŚLĄSK

(1—16 CZERWCA 1919 ROKU)

DELEGACJA niemiecka na konferencji pokojowej w Paryżu otrzymała od Sprzymierzonych projekt traktatu dn. 7 maja 1919 roku. Zgodnie z tym projektem Śląsk Górny, Wielkopolska i Prusy Królewskie miały być zwrócone Polsce, w południowej części Prus Książęcych i w okręgu Kwidzyńskim miał się odbyć plebiscyt, Gdańsk miał być urządzony jako wolne miasto. Zasadniczy postulat polski —zwrot zaboru pruskiego—był urzeczywistniony, wszelako w szczegółach nie wszystko zostało tak załatwione, jak tego żądała delegacja polska. Nie zwrócono Polsce Gdańska, pozostawiono Niemcom kilka okręgów pogranicznych zamieszkałych, przez ludność polską (Wieleń, Babimost, Syców, Namysłów i inne), w Prusach Książęcych zapowiedziano plebiscyt...

Mimo to, po zapoznaniu się z tekstem projektu, wręczonego Niemcom w owym pamiętnym dniu 7 maja, Delegacja polska doszła do wniosku, że nie należy czynić żadnego wystąpienia, by przez to nie ułatwiać dokonywania zmian w projekcie na naszą niekorzyść, czego można się było obawiać na skutek starań Delegacji niemieckiej. Niemcy pracowali nad odpowiedzią przez 3 tygodnie — dn. 29 maja wręczyli prezesowi konferencji pokojowej obszerny litografowany memorjał p. t. *„Bemerkungen der deutschen Delegation zu den Friedensbedingungen“*. Ustęp 7 rozdziału II (część II str. 54--67) był w piśmie tem poświęcony sprawie granicy z Polską. Delegacja niemiecka wypowiedziała się stanowczo przeciw oddaniu Polsce G. Śląska, Prus Królewskich, Prus Książęcych i Gdańska. Wyraziła jedynie zgodę na oddanie części Poznańskiego.

Na posiedzeniu Narady przy Delegacji polskiej, dn. 1 czerwca, Delegat Władysław Grabski zreferował memorjał niemiecki. Na podstawie informacyj prywatnych wiadomo już było, iż największe niebezpieczeństwo grozi G. Śląskowi. Wiadomo też było, że szef Delegacji angielskiej, p. Lloyd George od miesiąca już wywierał nacisk w tym kierunku, by nie drażnić Niemców daleko idącemi okrojeniami ich przedwojennego terytorjum. Postanowiono tedy działać energicznie i rozpocząć od złożenia noty, oświetlającej notę niemiecką i zbijającej argumenty niemieckie. Opracowanie tej noty powierzono p. Marjanowi Seydzie i prof. Eugenjuszowi Romerowi. Tekst polityczny noty napisał Seyda, aneksy do niej natury historycznej, geograficznej i etnograficznej opracował prof. Romer; wręczono ją w Sekretarjacie Konferencji dn. 3 czerwca. Nota polska zawierała nietylko odparcie żądań i argumentów niemieckich, zwracała ona także uwagę sprzymierzonych na te punkty w projekcie traktatu, które nie odpowiadały słusznym żądaniom Delegacji polskiej.

Sprawą granicy polsko-niemieckiej zajęła się Rada Najwyższa Konferencji na posiedzeniu 4 czerwca. Postanowiono wówczas, na wniosek przedstawiciela W. Brytanji, p. Lloyda George'a, porobić w projekcie traktatu szereg zmian. Zmiany te według uchwały Rady Najwyższej miały być następujące.[1])

1) Pozostawienie Niemcom części powiatów Gerowskiego i Milickiego z wyjątkiem skrawka ziemi potrzebnego dla tego, by linja kolejowa Rawicz — Leszno pozostała na terytorjum polskiem.

2) Pozostawienie linji kolejowej Chojnice — Piła na terytorjum niemieckiem.

3) Pozostawienie Niemcom części prow. pomorskiej, które były przyznane Polsce.

4) Zarządzenie plebiscytu na przyznanej Polsce projektem 7 maja części Górnego Śląska.

Ciosem dotkliwym był plebiscyt na G. Śląsku. Delegacja polska postanowiła podjąć akcję celem zmiany postanowienia Rady Najwyższej. Delegat polski R. Dmowski zwracał się tegoż dnia (4 czerwca) do prezesa Konferencji z listem, w którym żądał, by delegaci nasi byli wysłuchani przez Radę Najwyższą przed udzieleniem ostatecznej odpowiedzi Niemcom. Nazajutrz Sekretarjat Delegacji Polskiej rozesłał wszystkim członkom Konferencji notę w sprawie projektowanego na Górnym Śląsku plebiscytu.

Dn. 5 czerwca wezwano p. I. Paderewskiego na posiedzenie Rady Najwyższej, W przemówieniu tam wygłoszonem[2]) p. Paderewski dowodził, że granica zachodnia Polski, ustanowiona w projekcie traktatu jest *minimum* tego, czego wymaga sprawiedliwość oraz interes polityczny państw sprzymierzonych, oświadczył następnie, że Delegacja polska protestuje stanowczo przeciwko plebiscytowi na G. Śląsku, gotowa jest natomiast zgodzić się na ustępstwa dla Niemiec w sprawie dostarczania węgla z G. Śląska. W razie gdyby miały być dokonane zmiany w granicy polsko-niemieckiej, Delegat polski proponował, by przyznano Polsce zamieszkałe przez ludność polską: 1) część pow. Wieleńskiego, 2) część pow. Babimojskiego, 3) część pow. Sycowskiego i Namysłowskiego, które projekt traktatu z 7 maja pozostawił Niemcom.

Dn. 8 czerwca Delegaci polscy (R. Dmowski, Wł. Grabski i I. J. Paderewski) na posiedzeniu wspólnem postanowili wysłanie do prezesa Konferencji noty, protestującej przeciw plebiscytowi na G. Śląsku. Notę tę wysłano dn. 9 czerwca z podpisem prezesa Rady Ministrów I. J. Paderewskiego.

Wszystkie powyżej wymienione wysiłki pozostały bez rezultatu. Dn. 14 czerwca wezwano Delegatów polskich do prywatnego mieszkania prezydenta Wilsona, by im zakomunikować postanowienie Rady Najwyższej co do zmian w pierwotnym projekcie traktatu z Niemcami.

Dmowski w swej książce „Polityka polska“ (str. 456) powiada:

„Gdyśmy weszli z Paderewskim do niewielkiej sali, w której zasiadało pięciu ludzi decydujących o losach świata, Clemenceau siedział w kącie, w roli biernego świadka — rolę przewodniczącego wziął na siebie Wilson. Wobec tego, że w dyskusji zabierali głos tylko Wilson, Lloyd George i my dwaj, toczyła się ona po angielsku. Rozpoczął Wilson, zawiadamiając nas, iż wytkniętą w traktacie linję graniczną Rada Najwyższa skorygowała, ściśle przestrzegając zasady, żeby granica polityczna ściśle odpowiadała granicy narodowej i że wobec tego, iż Niemcy twierdzą, że ludność polska nie chce do Polski należeć, Rada zdecydowała plebiscyt. Gdy skończył, zabrał głos Paderewski i w wymownych słowach oświadczył, że to będzie bolesny cios dla Polski. Na to Wilson powiedział, że i jego to bardzo martwi, ale niestety jest to konieczne. Po nim Lloyd George powiedział, że i jemu jest przykro, wobec tego, że to przykrość sprawia p. Pade-

[1]) Cytujemy według części II (str. 5) wydawnictwa „Akty i Dokumenty dotyczące sprawy granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu“. Paryż, 1925.

[2]) powtarzamy treść przemówienia za wydawnictwem „Akty i Dokumenty“.

rewskiemu, bo ma wielką przyjaźń dla p. Paderewskiego, ale plebiscyt jest konieczny.

„Jakkolwiek rzecz była widocznie przesądzona, gdy przyszła kolej na mnie, usiłowałem wykazać niesprawiedliwość tej decyzji i jej nielogiczność z punktu widzenia celów, które sobie stawiają twórcy tego pokoju...“

Argumenty Delegatów polskich padały w próżnię, bo sprawa była przesądzona. W ostatecznym projekcie traktatu, wręczonym Niemcom dn. 16 czerwca, w projekcie, który stał się Traktatem Wersalskim, art. 88 stanowił, że „W części Śląska Górnego, położonej w granicach poniżej opisanych, mieszkańcy zostaną powołani do wypowiedzenia się przez głosowanie, czy życzą sobie przyłączenia do Niemiec, czy też do Polski.“ Wyniki plebiscytu są wiadome.

STANISŁAW KOZICKI

CIENIOM PUŁASKIEGO

DNIA 9 października b. r. upłynie półtorasta lat od zgonu bohatera Polski i Ameryki, Kazimierza Pułaskiego. Za oceanem rocznica ta ma być obchodzona uroczyście. Rozpoczęto zbieranie funduszów na budowę dwóch nowych pomników, według innych wiadomości ma stanąć pod Savannah kopiec ku czci poległego tam rycerza.

My w kraju kochamy Pana Kazimierza serdecznie. Wizerunki jego kursują na pocztówkach, zdobią szkoły ludowe, izby robotnicze i wieśniacze, śpiewamy lub deklamujemy (w braku autentycznej melodji) znaną piosenkę o Drewiczu, gdzie nasz „rębacz dziarski“ ma obezwładnić Drewiczowe ręce, zęby i oczy. Spopularyzowali Pułaskiego w powieściach: H. Rzewuski, Bodzantowicz (Suffczyński), K. Gaszyński, Z. Kaczkowski, J. I. Kraszewski. Pokazali go na scenie: Mickiewicz (w „Konfederatach Barskich“), Słowacki (w „Księdzu Marku“), Nowaczyński („Pułaski w Ameryce“). A jednak... aniśmy go nie uczcili żadnym pomnikiem, ani go w gruncie rzeczy nie znamy. Rzecz nieprawdopodobna: poza szkicem biograficznym Leonarda Chodźki, który nawet w chwili swego powstania (1868) był tymczasową kompilacją i niczem więcej, posiadamy tylko w „Złotej Księdze Szlachty Polskiej“ tom VIII, życiorys obszerny, z pietyzmem przez stryjecznego prawnuka skreślony, życiorys surowym przepełniony materjałem, więc dla specjalistów cenny, lecz dziś przestarzały, natomiast ani jednej monografji wyczerpującej a pogłębionej, ba nawet żadnej broszury popularnej w duchu Plutarcha. Nawet nie znamy prawdziwego oblicza Pułaskiego, bo rozpowszechniony w oleodrukach portret wzoruje się na sztychach i litografjach z XIX wieku, i dopiero przed kilku tygodniami, jak doniosły gazety, znaleziono w Stanie Georgia portret spółczesny bohatera z pod Savannah, który umieszczono w zbiorach miejscowego Towarzystwa Historycznego.

Historjografja nasza ma wobec Pułaskiego dług niespłacony, tem pilniejszy, że do odsunięcia go w cień trochę przyczynił się wybitny historyk Tadeusz Korzon, który Kościuszkę, rozważnego, fachowo wykształconego, nowoczesnego republikanina, przeciwstawił Pułaskiemu, jako zapalczywemu dyletantowi o staropolskiej, rozwichrzonej głowie. Że Kościuszko był człowiekiem większym i dostojniejszym, to pewna; ale jego ciężar gatunkowy nie ma się tak do ciężaru Pułaskiego, jak liczba ich plastycznych czy też książkowych pomników, t. j. jak kilka czy też nawet kilkanaście do zera.

* * *

Żywot Pułaskiego to przedewszystkiem epopeja rycerska. Stanąwszy raz „na placu z Boga ordynansu“, złożywszy z braćmi uroczystą na ręce sędziwego ojca przysięgę, nie włożył już szabli do pochwy i poza krótkim momentem wahania — po ucieczce Barzan na terytorjum tureckie — wojował bez ustanku, bez wytchnienia, bez litości nad samym sobą, jakby tym trudem chciał spłacić ojczyźnie dług za tysiące ukrytych po domach samolubów i tchórzów.

Odbył kampanij pięć (1768—72) — Kościuszko miał ich w Polsce dwie—zrosił swą krwią lub potem ziemię podolską, ruską, brześciańską, nowogródzką, krakowską, sandomierską, sieradzką, poznańską, radomską. Stoczył bitwy pod Staro-Konstantynowem (23 kwietnia 1768), Chmielnikiem (pocz. maja 1768), Kukiełkami (6 lipca 1769), Myszą (ok. 15 lipca), Orzechowem (13 września), Włodawą (w ciągu tejże doby), Pilznem (15 maja 1770), Zamościem (3 czerwca 1771), Częstochową (czerwiec 1771), Radomiem (31 października t. r.).

Atakował załogi nieprzyjacielskie we Lwowie (1 czerwca 1769), na Kazimierzu pod Krakowem (1 września 1770), kusił się o Poznań (październik 1770), o Zamość (30 maja 1771). Bronił twierdz: Berdyczowa (28 maja — 15 czerwca 1768), Okopów (8 marca 1769) Koniecznej (3 sierpnia 1770), Jasnej Góry (1—15 stycznia 1771). Razem akcyj bojowych około dwudziestu (Kościuszko miał ich sześć). A każda ówczesna bitwa konfederacka — to nie była próba sił o wątpliwym wyniku—to była prawie niewątpliwa rozproszka albo porażka, jeżeli nie klęska, po której następowała rzeź rannych, deportacja w głąb Rosji jeńców, czasem okrutne ich mordowanie.

Kiedy ostatnie zgasły nadzieje, gdy nastąpił rozbiór i rozjazd konfederatów na emigrację, Pan Kazimierz, *contra spem sperans*, próbuje jeszcze formować legjon polski przy armji tureckiej (1774). A gdy mu los rozbija tę wątłą deskę ratunku, nie mogąc służyć własnej ojczyźnie, jedzie do Ameryki, by wraz z Kościuszką szukać sławy lub śmierci rycerskiej w szeregach wolnych synów Stanów Zjednoczonych.

Tak spełnił Kazimierz Pułaski ślub wyśpiewany przez bezimiennego poetę obozowego: „dla wolności zginę—wiary swej nie minę: ten jest mój azard“.

Ale tę prostą marszrutę żołnierską od przysięgi do mogiły zarosły ciernie, poryły szkodne zwierzęta, rozmyły nawalne deszcze. Epos Pułaskiego nie raz jeden napręża się i wybucha dramatem. Tak się splatały okoliczności, tak działali otaczający ludzie. On sam powikłań w życiu swem nie mnożył. Świat jego idej był prosty. W pierwszem stadjum świeciły mu te same świętości, które wyznawał cały zakon rycerzy Krzyża Świętego: wiara rzymsko-katolicka, wolność w staropolskiem rozumieniu z nieodłączną, nietykalną prerogatywą hetmańską. Później to wszystko się stopiło w jedną gwiazdę przewodnią — niepodległość całej ojczyzny. Nie widać znikąd, by ten cel zacieśniały jakieś przesądy partyjne, przywiązanie do osób, rodów lub instytucyj, choćby nawet do tegoż hetmaństwa. Gdyby konfederacja zwyciężyła i narzuciła krajowi silny rząd, to nie wydaje się prawdopobne, by rokosz podniósł Kazimierz Pułaski.

Uczucia osobiste proste i prawe. W stosunkach z innymi wojakami serdeczna koleżeńskość. Dobór przyjaciół—skutkiem słabej znajomości ludzi—raczej niefortunny i dlatego właśnie zmienny. Wyraźnie ciągnęło go do typów ryzykanckich; stąd przelotna zażyłość z księciem-bandytą Marcinem Lubomirskim,

ze smutnej sławy Szymonem Kossakowskim. Przeciwnie, czuł antypatję do krętacza i machera Bierzyńskiego, do wyrachowanego Walewskiego, do zbyt rozważnego polityka Zaremby. Zresztą gotów się łączyć z każdym, kto równie, jak on, szczerze pragnął bić Moskali. Piętnastoletnim paziem ujrzał Franciszkę Krasińską i uległ jej urokowi; dla niej rad był wywyższyć na tron polski lub choćby tylko kurlandzki swego pana a jej niewiernego i nieciekawego małżonka, królewicza Karola Saskiego. Żadnych jednak nie żywił uprzedzeń fakcyjnych, królowi Poniatowskiemu ani książętom Czartoryskim nie okazywał nienawiści.

Tymczasem ci, którzy jego czyny wojenne wyzyskiwali dla swej polityki, panowie Potoccy, Krasińscy, a później także inni szefowie Generalności kazali właśnie króla i „familię" nienawidzieć. Kto dla nich miał wyrozumiałość, ten zdrajca, kto, jak ojciec Pana Kazimierza, Józef, starosta warecki, służył kiedyś Czartoryskim ten, choćby stworzył dziesięć konfederacyj barskich a nie jedną, na wieki podejrzany. A odkąd sam Kazimierz, zwątpiwszy na chwilę o powstaniu, zdezorjentowany i wypuszczony z niewoli, spróbował namawiać szefów do zaprzestania ruchawki, trzeba zgiąć, poniżyć wszystkich Pułaskich. Joachim Potocki, aresztując podstępem starego Pułaskiego, skraca mu życie, ściga jego synów ordynansami i uniwersałami, ściga rwących się do walki, gdy sam czeka za kordonem na triumfalny z Turkami powrót do kraju. Magnacka klątwa unosi się nad Panem Kazimierzem, jako szlachetką i synem kreatury innych magnatów; gdy on idzie na Litwę (1769), Jan Klemens Branicki i Karol Radziwiłł nie dadzą mu swych milicyj—wolą je dać Bierzyńskiemu. Pac i Sapieha odbiorą mu komputowe pułki ułańskie. A kiedy rozbity, obdarty, zmasakrowany wynurzy się jesienią w Małopolsce, już po stracie brata Franciszka, już prawie samotny na świecie, jeszcze go śledzą podejrzliwie: czy nie wysługuje się „Czartom", czy nie szuka zemsty nad Potockim?

Otóż on właśnie uczucia zemsty nie znał — znał natomiast aż nazbyt dobrze górną ambicję i dumę. Był drażliwy, niezawisły, nieokiełznany. Płytkiej i próżnej pychy, tej, co sobie wypisuje na pawim ogonie tytuły jedne szumniejsze od drugich, wyzbył się wcześnie: skoro go afekt szlachty łomżyńskiej laską marszałkowską obdarzył, będzie on na zawsze „łomżyńskim". Komendę gorszych wodzów zapewne ciężkoby znosił; służyć pod generalnym regimentarzem Joachimem Potockim byłoby trochę boleśnie — na szczęście pan Joachim tkwi za dalekim Dunajem; z pyszałkiem Dumouriez'em wyżyć trudno. Ale rozkazów Generalności i jej Rady Wojskowej Pułaski słucha, wskazówki mądrego Viomenila chętnie uwzględnia: byle mógł walczyć, porywać kolegów wyższością koncepcji i odwagi, zwyciężać i uczyć innych sztuki zwyciężania, przymnażać sławy sobie i Polsce.

Żądza sławy była jedyną jego słabością—dogadzał jej, rozsyłając z własnej kancelarji nieco przesadne biuletyny o zwycięstwach, co zresztą przed nim praktykował także król Sobieski. W każdym razie miała to być sława Winkelriedów, nie Herostratów. Atoli panowie statyści, zasiadający w Radzie Generalnej i panowie magnaci, trzęsący ową Radą, pchali go na bezdroża gorszych popisów. Nie dał się zbuntować Wesslowi i Mniszchowi przeciw Generalności, od intryg stronił, ale uniwersał o bezkrólewiu posłusznie ogłaszał, wierząc, że ci, co go inspirowali, zato dostarczą środków do walki. I czegóż doznał w nagrodę? Oto pod Zamościem, z którego chciał zrobić drugą Jasną Górę, w największem niebezpieczeństwie ledwo uszedł z rąk Suworowa, bo pan ordynat, współwinowajca fatalnego „bezkrólewia", twierdzy otwierać nie kazał, choć ją przedtem nieraz otworzyć obiecywał. Wreszcie przyszło najgorsze zło. Skoro Generalność kazała tępić tyrana i uzurpatora, skoro przez to Stanisław August wpadł ponownie w ramiona Rosji, to trzeba go było jakoś unieszkodliwić. Nie zabić, broń Boże, jak wzywali zakordonowi statyści, ale uprowadzić, ubezwładnić, najlepiej zmusić do abdykacji. Pułaski po żołniersku spełnia polecenie. Następuje okropne *fiasco* i kompromitacja. Zrywa się krzyk na królobójcę. Austrja mu wypowiada *asyllum*. Generalność się go wypiera wśród klęski rozbioru. Bohater Okopów i Jasnej Góry uchodzi za granicę, jak łotr, jak nędzny skrytobójca i stamtąd słyszy o gotującym się w Warszawie sądzie na jego towarzyszy i o tem, jak towarzysze obciążają go zeznaniami, jak go modna Europa robi drugim Ravaillac'iem. Próbuje się usprawiedliwiać—Generalność go znów potępia. Ujść z tego świata zaprzaństwa, pogrążyć się w zgiełku bitew, sławę zniszczoną budować sobie od podstaw... Póki jeszcze grzmią armaty, Pan Kazimierz przedziera się z garścią oficerów za Bałkany do Carogrodu, pod Szumlę do obozu wielkiego wezyra, już stanął pod samą przełęczą nowych przeznaczeń, kiedy nań spada lawina uciekających Turków...

Stracił wszystko — prócz duszy. Z zamożnego panicza, spadkobiercy paru miast i wielu wsi, stał się nędzarzem, niewypłacalnym dłużnikiem, banitą. Jeszcze dwa lata takiej poniewierki w jakichś spelunkach portowych Marsylji... Czasem trochę grosza kapnie od byłych przyjaciół z kraju — częściej obiecanki... Już i staruszka matka nie pomoże. Wierzyciele gnębią, gnotą, wtłaczają do więzienia. Pielgrzym-„królobójca" wśród autentycznych bandytów, rzezimieszków, oszustów, przykuty tam, gdzie go poraził piorun tragedji Polski, przygniotły berła władców „Starego Porządku". Któż go wybawi *de profundis?* Chyba tylko jeden człowiek na świecie...

Ten pielgrzym czcigodny z drugiej półkuli, co przybył do Paryża, by szukać pomocy dla swych amerykańskich konfederatów, ten kto *coelo fulmen sceptrumque tyrannis:* Benjamin Franklin za pośrednictwem historyka Rulhière'a wydobywa Pułaskiego z Marsylji i wyprawia do obozów Washingtona.

* * *

Spłacić dług należny pamięci Pułaskiego niełatwo. Gdybyż ten rycerz miał czas i żyłkę do pisania pamiętników. Gdyby był prowadził prawidłowo archiwum sztabowe. Może niegdyś podobne źródła istniały. Niestety, nie słychać o żadnych notatach odnalezionych np. w Marsylji, ani po żadnej porażce wojsk konfederackich nie donoszą Rosjanie o znalezieniu kancelarji Pułaskiego. Wcześniejsze papiery przechowywała matka, pani Marjanna z Zielińskich, na Podolu; może to o nich pisały gazety kijowsko-sowieckie w r. 1924, jakoby na Ukrainie odnaleziono archiwum Konfederatów Barskich. Późniejsze punktualne raporty przepadły wraz z Archiwum Generalności. Przyczynki amerykańskie skwapliwie wyzyskano. Jednak życiorys Pułaskiego-wodza na podstawie długich, drobiazgowych poszukiwań i wnikliwego rozbioru źródeł skreślić można; można zwłaszcza odtworzyć tydzień po tygodniu, bez uciekania się do luźnych hypotez, wszystkie szlaki, które Pan Kazimierz wypisał końskiemi podkowami na mapie Rzeczypospolitej. I życiorys taki jest na warsztacie. Chodzi tylko o to, czy w pokoleniu „czerwonych błaznów" i michorowskich ordynatów znajdzie się nakładca, który książkę o Pułaskim ogłosi.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

ZAUFANIE DO RZECZYWISTOŚCI

(dokończenie)

Tantum habet homo de scientia quantum operetur.
Św. Franciszek z Assyżu.

TEZA zasadnicza: Zbawienie (ocalenie duszy od metafizycznej zagłady), zależy od ocalenia charakteru jednostki; treść charakteru indywidualnego zależy od treści danej jednostce cywilizacji.

Znaczenie tezy tej pragmatycznie będę starał się wykazać; przedtem, co ona oznacza — że tak powiem — w „wyobraźni teologicznej".

Dusza człowieka ma drzwi na dwie strony: jedne w świat, drugie gdzieś, w głuchem podziemiu, w nadświat. Jest kontaktem między biegunem Boga, a biegunem przyrody: kanałem, którym Łaska przenika w przyrodę, „duch" w „materję", szczeliną przez którą światło świata sprawiedliwego sączy się w ciemności świata bezrozumnego, bezplanowego, świata, który się od Boga oderwał. Ten kontakt może się rdzą strawić, ten kanał zamulić, ta szczelina zatkać; ale też mogą się one oczyszczać, rozszerzać i więcej prądu przepuszczać, więcej soku ożywczego, więcej światła.

Treści ideowej—Łaska nie ma innej—prócz tej: W i a r a ż y w a i m o c w y t r w a ł o ś c i i p o g o d a w s p a n i a ł o ś c i d u c h a; w niej już się wszystko mieści: i dobra wola służenia sprawom czynu, i miłosierdzie, i wybaczenie, i wzniosłość ponad rzeczy błahe, i czystość, i sprawiedliwość.

Wiara, ożywiając działalność moralną człowieka, mówi tylko to—i nic więcej; jest więc znacznie bardziej f o r m a l n y m, niżeli m e r y t o r y c z n y m czynnikiem tworzącego się charakteru; merytorycznym o tyle, o ile wyliczone cnoty wytyczają już w konkretnych kierunkach działanie ludzkie.

O dokładniejsze jednak wytyczne tego działania, o to, na jakie motory puścić prąd tej mocy i miłości, jaki przepływa przez serce człowieka na skutek jego żywej wiary—o tem już ma stanowić jego kultura.

Wiara powiada: Nie wolno duszy gubić, gubić jej przez rozproszenie, marnotrawienie jej sił, przez jej nietrwałość, przez zubożenie jej na skutek odosobnienia jej od życia współludzi.

Ale jakim sposobem siły duszy zużytkować, jakim sposobem związać je z życiem współludzi, na jakich wartościach krystalizować swój charakter—o tem mówi człowiekowi kultura jego.

Sprawa Boża to sprawa d u s z czystych i trwałych, które wypracowują się z chaosu przyrody. W tem wielkiem zmaganiu się z życiem, które nas tworzy i nas rozdziera, rodzi aby pożerać, — wielkie, żarliwe westchnienie wyrywa nam się z piersi. Duch człowieczy woła z otchłani—woła na Ducha pokrewnego ale niezmierzenie wyższego, pełnego Mocy.

To westchnienie sił nam dodaje. Ale zarazem zobowiązuje. Nic się nie otrzymuje za darmo. Coś zyskując zawsze się coś straci. Tak jest i tu, w sprawach świętych. Za dźwignię wiary płaci się koniecznością ofiar. Wiara staje się dyscypliną. Gdy wierzyć zaczynamy, że jest ponad życiem żywiołu zmiennem, przelewnem, automatycznem — jeszcze inne życie—Życie trwałe, wieczne, świadome, życie lepszego Ładu, to już odrazu zaczynamy wierzyć, że naszą wolą duchowego „być" spełniamy wobec owego życia jakiś tajemny, święty o b o w i ą z e k.

*

9. Obowiązek nasz ma więc aspekt podwójny, treść dwojaką: „Od góry" widziany, od strony świata Łaski, treścią jego jest: z a c h o w a ć c a ł o ś ć c h a r a k t e r u. Nie przypuszczamy bowiem, ażeby poszczególne nasze kroki, z osobna całkiem brane nasze postępki, mogły decydować o naszem zbawieniu.

Wyobrażamy sobie łatwo, że o zbawieniu duszy decyduje całość charakteru, czyli dynamika tendencyj zasadniczych, jakie on zdołał w sobie wytworzyć — że idzie tu o zapas, „skarbiec" energji, jaki on sobie gotuje na nowe, przewidywane życie. Ale przecież nie możemy sobie wyobrazić, aby o metafizycznym losie człowieka decydować mogły takie lub owakie jego postawy merytoryczne, wewnątrz tego świata, wewnątrz kultury. Bo tak przypuściwszy, musielibyśmy odrazu przyjąć, że statyczne postawy nasze tutaj mogą coś znaczyć na tamtym świecie, co prowadziłoby do absurdu i śmieszności, a także, że całe wielkie kultury ludzkie były dziełem potępionych, że w nich nie dokonywała się żadna praca dobrej woli, że nie przyniosły one nic do budowy naszego sumienia, że nie wniosły żadnego posagu do stanu posiadania naszej cywilizacji — co przypuścić byłoby i obrazą sprawiedliwości i niezgodne z empirją historyczną.

Z punktu więc widzenia religijnego mamy o b o w i ą z e k o b o w i ą z k u — i to byłby zresztą punkt widzenia moralności objektywnej, uniwersalnej, ogólnoludzkiej, punkt widzenia formalny. Skoro idzie o religijny punkt widzenia, to, powtórzę, nie jest on całkowicie formalny, bo wiara orzeka ograniczająco, to znaczy, że pewne postępki, choćby nawet były poczuwane jako (ten wtórny) obowiązek, nie mogą w żaden sposób uchodzić za zbawcze, za te, które służyć mają takiemu stanowi ducha, jakiego wiara dla zbawienia wymaga. Np. trudno wyobrazić sobie, żeby udział w orgjach seksualnych, choćby wymagany przez kulturę rodzimą danego osobnika, równoznaczny był metafizycznie z opanowaniem seksualnem, z czystością, do jakiej zdolni są niektórzy ludzie w chrześcijaństwie i innych religjach wyższych. Tu i w innych sprawach, które stanowią sens wiary naszej chrześcijańskiej, streszczającej się moralnie i metafizycznie w idei „prymatu ducha", musimy wybierać i hierarchizować —i nie próbować wchodzić w tajemnice mistyczne bliżej, co byłoby raczej igraszką wyobraźni, niż konstruowaniem systemu pojęć, mających na celu życie religijne włączyć w całość życia. Ale zarazem trudno pozostać w zgodzie z sumieniem, jeślibyśmy dewaluowali moralnie i wyciągali stąd przypuszczenia o zagubie duszy np. japońskiego samuraja, który w najwyższem napięciu poczucia honoru lub miłości ojczyzny, popełnia uroczyste samobójstwo... Tu nie ma miejsca rozkład psychiki, ale raczej najwyższe jej skupienie!

Z pewnością śmieszne byłoby chcieć wyrokować o losach dusz na tamtym świecie; i nawet katolicyzm zakazuje nam tak czynić. Jeśli więc wchodzi tu w rozważanie taka wątpliwość, jak dopiero co przytoczona, o tym Japończyku — to z jednego powodu: dla podkreślenia, że sumienie współczesnego człowieka domaga się od myśli religijnej, ażeby nie dewaluowała kultur narodowych. Jest to możliwe tylko przez stanowcze, jakkolwiek nie bezwzględne, rozróżnienie punktów widzenia, z jakich oglądać możemy moralne życie duszy: punktu widzenia od strony jej kontaktu ze światem wyższym — w którym zależy na ogólnej dynamice charakteru—i z punktu widzenia jej od strony kultury, w którym zależy już na jej szczegółowych postawach.

Któż z nas śmiałby sądzić o bliźnim swoim, że dusza jego, w najgłębszej głębi swej kontakt z Bogiem utraciła? Że nie sączy się w serce jego struga tej żywej Siły, którą nazywają Łaską, a w której objektywne znaczenie człowiek dojrzały wierzyć musi, jeśli nie ma wyzbyć się obyczaju modlitwy? Któż ma prawo do potępiania kogoś z bliźnich absolutnie?

Nam pozostaje jedno: patrzeć, czy z ludzkiego punktu widzenia da się w postępowaniu jego odnaleźć dobra wola — ta wola skierowana niesamolubnie, ku dobru objektywnemu—objektywnemu w jego rozumieniu? Nie wydawajmy sądu metafizycznego. „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni..." To oczywiście nie znaczy, abyśmy nie mieli wydawać o jego celach i postępowaniach sądu praktycznego, politycznego, socjologicznego i t. p., abyśmy nie mieli w razie, jeśli cele jego uznajemy za szkodliwe, zwalczać go, aż do odebrania mu możności działania. Znaczy to tylko, że zachowujemy zdolność szacunku dla uczciwego nieprzyjaciela. O wiele więcej w stosunku do nieprzyjaciela wymaga kultura, która nas wychowała... Jednakże i ten postulat jest już coś wart; a właśnie postawę taką wysoce ułatwia teza, że Bogu zależy tylko na naszym charakterze jako takim, ale światu na bliższych, konkretnych tego charakteru określeniach—a raczej na jego aktualizacji, jego działaniach.

*

10. Idzie, słowem, o dualizm tego rodzaju, że świat „poniżej" duszy należy do kultury, „powyżej" duszy do wiary. Węzłem między tą a tamtą stroną jest tylko charakter; charakter z tamtą stroną łączy się modlitwą, z tą rozsądkiem, tradycją i tp., słowem, kulturą.

Wiara jest czynnikiem morfologicznym, szczególnie uzdolniającym do działania w świecie; ale sama przez się nie mówi jeszcze o kierunku tego działania, nie gwarantuje jego słuszności. Chcę na parę tylko momentów zwrócić uwagę, dla wskazania, że postawa taka jak tu, jest rzeczywiście pożyteczną.

Przedewszystkiem odrazu kładzie się kres pretensjom mesjanicznym rozmaitych jednostek czy grup. Jesteś bogobojny, natchniony? Dobrze, jeśli to prawda, że nie jesteś szarlatanem, że żyjesz bogobojnie, szanujemy cię za to, ale tylko za to, twoje zaś natchnienia przefiltrujemy przez skład naszej kultury, ażeby ocenić, co one z tego względu warte!.. Tu, w naszym świecie, świecie kultury, który jest napoczętą zaledwie przez początkującą robotę ducha cząstką świata materji, mają dla nas wartość tylko te wskazania, które pozwolą nam wykonać porządnie nasze tutejsze, doczesne zadanie. Jesteśmy wszak — jak owa „Chimera" malarza Moreau — twarzą w niebo, skrzydłami w powietrze, ale — kopytami na ziemi!...

I dalej: stanowisko nasze pozwala nam porozumieć się z historją chrześcijaństwa, a katolicyzmu w szczególności.

Tragedją współczesnych wobec historji chrześcijaństwa są nie ludzie źli i mierni, lecz to, że ona, nawet w swoich mężach wybitnych umysłowo i dobrej woli zatrzymywała się często na pozycjach, które są stanowczo poniżej naszego sumienia, naszej myśli. Ale pozostaje na szczęście jako droga wyjścia z dylematu, ta właśnie nasza dystynkcja zasadnicza: „Duch" filtrował się przez „materję", przez ówczesną kulturę, ówczesny splot warunków dziejowych. Nie ubliża to jego istocie, jego „substancji". Skoro się ma już przeświadczenie, że doświadczenia wiary w Łaskę nie wolno przerywać, że owszem należy, że jest obowiązkiem ludzkości kontynuować je — to już trzeba przypuścić, że bilans strat i zysków historji chrześcijaństwa, jako formy najbardziej intensywnej wiary w Łaskę, jest dodatni; a te wszystkie, tak nieznośne dla nas spory i dyskusje, niedostatki i zbrodnie, które wypełniają tyle miejsca w historji chrześcijaństwa, tracą sens bezwzględny, metafizyczny i zyskując odrazu sens względny, doczesny, historyczny, socjologiczny, stają się dla nas zrzumialsze, niekiedy wybaczalne. Co do owego bilansu zaś, zdaje się, że empirja historyczna potwierdza ów postulat: zdaje się być pewnem, że — bądź co bądź — sytuacja człowieka, jako człowieka, to znaczy jako istoty, której z racji jej urodzenia ludzkiego przysługuje pewna i jedyna godność, jest zupełnie inną po działaniu chrystjanizmu niż przedtem.

Wiara nie jest identyczna z religją. Jeśli wiara jest czynnikiem poniekąd ponad-historycznym, czynnikiem raczej morfologicznym budowy sumienia—to religja jest czynnikiem historycznym, częścią składową kultury, kształtuje sumienie „od tej strony", wyznacza jego treść konkretną i to nie sama jedna, ale wespół z innemi czynnikami dziejowemi. Dlatego jeśli sumienie nie może być wyższe ponad wiarę — (bo byłaby to sprzeczność w założeniu, skoro właśnie najwyższe osiągi sumienia stanowią przygotowanie modlitewne, oczyszczenie przed modlitwą, więc *praeambula* woluntarne *fidei*) — to może być ono jednak — *per accidens* — wyższe ponad aktualne stany nauczania religijnego.

Niemniej jednak nie byłby wcale słuszny dualizm zupełny między wiarą — czynnikiem metafizycznym — a religją — czynnikiem wyłącznie kulturalnym, „przyrodzonym". Podobnie jak dualizm między abstrakcyjnością moralną czynnika wiary a takąż konkretnością czynników kultury—nie jest zupełnym—bo wiara napełnia istotę moralną człowieka pewną pogodą wspaniałości ducha, usposobieniem, które już konkretne nadaje kształty postępowaniu człowieka — podobnież i religja, t. j. religja pozytywna, historyczna, ze swej strony, jest—jeśli nie bez reszty—to jest jednak głównym i zasadniczym czynnikiem wytwarzania wiary —nie mieści się zatem cała w sferze przyrodzonej, kulturalnej, względnej, ale sięga swem działaniem w sferę metafizyczną, bezwzględną—swem działaniem i—co oczywista—pochodzeniem: wszak nie byłoby jej bez indywidualnych aktów wiary, wzajemnie się regulujących. W tradycji religijnej mamy przekazane sumieniu najwyższe jego osiągi i *de facto* w życiu religijnem zbiorowem osiąga się — choć nie jawne — akty wiary, które napełniają sumienie mocą i wielkoduszną pogodą.

Ten dwoisty charakter religji stanowi najtrudniejsze zagadnienie z dziedziny kwestji stosunków pomiędzy wiarą a całokształtem życia w kulturze. Wiara mogła bowiem być za wpływem religji, czyli raczej organu jej, Kościoła, używaną politycznie — a ta polityka bywała z rozmaitych punktów widzenia ocenianą bardzo różnorako — co odbija się na samej ocenie wiary i na stosunku do niej.

*

11. Ostatecznie więc „zaufanie do rzeczywistości" nie oznacza żadnego optymizmu racjonalnego. Można rozumowaniem ilość zła obstrugiwać jak kaczan; można, i to ze słusznością wielką, wskazywać na zło lecznicze i zło-stymulant; już powątpiewanie niejakie obudzić musi zło „pomocnicze". Próbuje się też nieraz sofistyką mniej lub więcej demoralizującą, wiele zła zbagatelizować—ale na cóż to wszystko? Zawsze przecież pozostanie pestka jak kamień twarda, nienadgryziona rozumem; jeśli bowiem całe zło jest

zjawiskiem wtórnem, zawinionem przez szatana i jeśliby nawet okazać się miało, że w istocie wszystko jest zbawione, prócz niego samego — to czyż takie przypuszczenie naprawia zasadniczo widok kosmosu? Harmonja już jest skażona, robak się zalągł w bujnym kwiecie i ten robak jest obrzydliwy—i smutny... Zagadnienie zła nie jest zagadnieniem ilościowem. Jeden samotny punkt zła, punkt potępienia, brzydoty i nieszczęścia, ma w sobie może więcej tragizmu, niż nieskończona masa zła. Tak—logicznie; bo praktycznie wcale nie jest obojętne, czy będzie więcej zła, czy mniej!...

Więc na innej drodze szukać optymizmu, zaufania do rzeczywistości. Rzeczywistość od zewnątrz dana nam jest fatalnie jako fakt pierwotny, dana nam ze złem i dobrem wymieszanemi jaknajdokładniej. A wobec nie wyrazistości zewnętrznej jawi się nasz poryw do życia i ponad nim jeszcze poryw do życia duchowego — jawią się one jako integralne składniki Rzeczywistości całkowitej. Moralność nasza, to moralność zgody na te porywy. *Sic volo*... Nasz kategoryczny imperatyw to—nie sprzeciwiać się niczemu, co powiększa życie, a w niem możliwości duchowe. Według nas grzech zasadniczy, to opad zaufania w możliwości swoje. A węzłem naszej gnozeologji właśnie poryw zaufania do rzeczywistości — zaufania w tem znaczeniu, że się zakłada, iż to całe „umysłowanie“ nasze, które wzmacnia nasze zaufanie we własne możliwości, jest realnym odpowiednikiem jakichś konkretnych procesów, które się odbywają w innych przekrojach rzeczywistości. Że sprawa subjektywna naszego zbawienia nie jest oderwanym, samotnym akcydentem, ale posiada swoje ekwiwalenty metafizyczne objektywne, że poprostu, to wszystko co czynimy dla zbawienia naszej duszy rzeźbi w złożach tajnych rzeczywistości koleje równie realne, jak realne są drogi, które wyrębujemy poprzez ciało ziemi. Z pośród hypotez metafizycznych, ta jest w konkretnem znaczeniu najprawdziwszą, która najlepiej służy utrzymaniu ducha naszego w mocy trwania i bogactwie życie. Nie mogą być fikcjami wyobrażenia, które wytworzyło życie, aby z pomocą iść życiu!...

I nikt chyba nie zdoła zaprzeczyć, że ten punkt wyjścia jest religijny w niedwuznacznem, nie jakiemś tam niemieckiem, ale w dosłownem znaczeniu, że to nie żadna estetyzująca „mimikra...“

*

12. Wreszcie, pokrótce już, kwestja stosunku pomiędzy religijnością a patrjotyzmem względnie nacjonalizmem (patrjotyzmem metodycznym, zracjonalizowanym).

Niektórych ludzi oburza to łączenie idej „Bóg i Ojczyzna“: jakto—powiadają—Bóg łączy ludzi, ojczyzny ich dzielą — a wy śmiecie powiadać, że Bóg popiera ojczyzny, a w szczególności—wojnę? Z tego dochodzi się do drwinek z Boga, ojczyzny itp. To płytkie.

Kiedy wyruszające w pole wojska udają się do świątyń, to nie po to, aby transcendentnego boga państwowego, czy narodowego o mór błagać i przekleństwo na przeciwnika—lecz po to, aby zaczerpnąć ducha wiary, wiary potrzebnej do wytrwania człowiekowi, wciśniętemu pomiędzy zderzaki straszliwe walczących narodów.

Zwycięstwo w boju od wielu zależy rzeczy zewnętrznych, a nawet przypadkowych, ale nikt, kto męski, nie zrzeka się tego czynnika zwycięstwa, którym jest—on sam. Ze siebie wydobyć całą moc ukrytą—oto mozolność walki. Niszczony maszynowo człowiek szuka w sobie sensu, coby wyniósł go ponad miękisz ciał szarpanych i gnijących. I znajduje go w wierze w nadświat żywy — nadświat, któremu zależy na tem, aby się moja dusza w tym rozpadzie ciał nie rozpadła — w strach, rozpacz, apatję, śmiech histeryczny, wobec którego mam obowiązek ocalić duszę moją od rozkładu.

Gdy patrjota modli się za ojczyznę, narodowiec za naród—to prosi właściwie o moc własnej duszy, moc, której użyje w zgodzie ze swem przeświadczeniem — ale przeświadczeniem nie mistycznem, lecz przyrodzonem, kulturalnem — na użytek ojczyzny, narodu.

Patrjotyzm, względnie nacjonalizm nie jest ideą mistyczną: nie ma bynajmniej pretensji monopolizować dla siebie kontaktu z Tamtą Stroną. Płynie z rozmaitych uczuć ludzkich, oraz rozsądku, który zdaje się przekonywać, że tu najlepsza metoda produktywnego zużycia charakteru. Strona mistyczna jest indywidualną własnością duszy — i nie pytajmy, czy to dusza narodowca, czy kosmopolity, żyda czy Greka.

Związek idei Boga i Ojczyzny jest to więc z logicznego punktu widzenia, związek akcydentalny.

Jednakże bardzo krzepkim i ścisłym jest związek ten z punktu widzenia psycho-moralnego.

Idea ojczyzny, patrjotyzm — to w istocie poczucie odpowiedzialności, wierności, w stosunku do rzeczywistości. Ojczyzna jest wartością, bez względu na wszystkie swe ujmy i braki, bo to jest poprostu kawał rzeczywistości do przerobienia[2]) i patrjotyzm jest to wierność wobec tej rzeczywistości najbliższej, rzeczywistości, z której wyrosłem, w której mię los postawił. Wierność wobec losu, wobec przeznaczenia.

Ślepy los urodzenie się tu, nie gdzieindziej, staje się przeznaczeniem: obowiązują mię już wszystkie konsekwencje moralne tego przypadku. Tu, nie gdzieindziej, bez względu na wszystkie groźne możliwości, ma być użyty mój charakter.

A to już jest odczuwanie wiary: To już jest poczucie solidarności, uczestnictwa w Potędze, która prze w świat dla przerobienia go i która dotyka świata, w tem tu miejscu—mną—piszę właśnie. Odejść od tego miejsca — to nie: zmienić punkt obojętny przestrzeni na inny punkt obojętny: to sprzeciwić się Mocy, która mnie używa tutaj, której w tem miejscu jestem potrzebny. Powiada się, czując tak: „Tu mię Bóg postawił na tym posterunku“. Nie wybiera się ojczyzny, jeśli się ufa w Boga nad sobą. Jest się wtedy jak ten gwóźdź, potężnym młotem głęboko wbity w twarde, granitowe skaliszcze gór...

Kraków

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[2]) Jeden z naszych pisarzy emigracyjnych mówi pięknie: „Ojczyzna to jest wszystko, widome i nie widome, cośmy wzięli po ojcach naszych, wszystko co wzięli, złe i dobre, imiona i brzemiona, wszystko co mamy z wczoraj, a czego jutro nam nie da. Ojczyzna jest tajemnicą, którą nie dla korzyści kochamy, której dla szkód nienawidzieć nie możem“, (Karol Sienkiewicz: „Prace historyczno-literackie“, Paryż, 1862. str. 317).

LIBERUM VETO

Wystawa poznańska.

Z NIEWOLI wyszła nie jedna, ale trzy Polski, wyraźnie odmienne. Różniły się one już przed utratą niepodległości, ale były to różnice familijne, które nie zacierały rysów wspólnych. Tymczasem gdy trzy siostry wypuszczone z więzień znalazły się w domu rodzinnym, spostrzegły, że są do siebie niepodobne, że mają inne myśli i uczucia, że się nie rozumieją i nie lubią. Wypadek przykry, ale naturalny. Gdyby nawet Polska przedrozbiorowa była zupełnie jednolita, to trzy jej dzielnice, podległe przez półtora wieku odmiennym wpływom, musiały odchylić się od wspólnego typu. Rosja oddziaływała na swój zabór bezprawiem, samowolą i uciskiem zewnętrznym, nie przenikając swoją słabą kulturą do głębi ducha narodowego; Niemcy oddziaływały surowem prawem, uciskiem wewnętrznym i mocną kulturą, przekształcającą charakter i nastrój ludności ujarzmionej; Austrja oddziaływała oszustwem politycznem, oprawionem w ramy bezdusznego formalizmu i wyjałowianiem umysłów. Z Królestwa kongresowego wszedł do Polski wyzwolonej fantastyczny marzyciel, z Wielkopolski — doskonały gospodarz i miłośnik praworządności, z Galicji scholastyczny biurokrata. Wobec głównych zadań, jakie siłą konieczności narzuciły się naszemu wskrzeszonemu państwu, najwyższą dla niego wartość okazał typ wielkopolski. Posiadał on bowiem te przymioty i uzdolnienia, które w danej chwili były najbardziej potrzebne i cenne dla narodu długo ubezwłasnowolnionego, nagle zjednoczonego i pragnącego szybko związać się w trwałą organizację. Nadto czas obecny na pierwszy plan życia społeczeństw wysunął sprawy gospodarcze. W literaturze i sztuce byliśmy dość zamożni, ale w dorobku materjalnym bardzo biedni i w praworządności nierozwinięci lub zdemoralizowani. Otóż te dwie zanikłe arterje rozszerzyła, odświeżyła i napełniła zdrową krwią Wielkopolska. Ani społeczeństwa kongresowo-galicyjskie, ani wyłonione z nich rządy tego jej znaczenia nie zrozumiały i nie oceniły. Przeciwnie, zachowały się wobec niej wyniośle, lekceważąco, niemal pogardliwie. Nie przyjęto z Poznańskiego wzorów, nie powołano stamtąd sterników nawy państwowej i — fakt niewiarogodny a prawdziwy — obsadzono je przeważnie materjałem ludzkim najgorszym, najmniej twórczym, najbardziej zawiędłym w formalistyce — galicjanami. Ale życie — ten nieomylny doradca, sprawiedliwy sędzia i niepokonany zwycięzca — rozstrzygnęło inaczej. Ono zawsze potarga najmisterniejsze sieci intryg, zedrze maski obłudy, wyrąbie okna w ciemnicy i wpuści do niej światło, strąci z wyżyny głupich i wprowadzi na nią mądrych, wogóle wyzwoli i uruchomi siły naturalne. Zaczęło ono już to czynić w stosunku do Wielkopolski, z której biją coraz głębsze i silniejsze zdroje energji narodu. Otacza ją ciągle jeszcze pajęczyna urzędowych i nieurzędowych dąsów, niechęci, urągań i upośledzeń, które chwilowo dokuczają, ale życie rozwieje ten tuman swem potężnem tchnieniem.

Przyszłość Polski streściła się dziś w pytaniu: nie jednostki i stronnictwa, kierujące jej losami, stanowiące szereg fal przechodnich, ale czy cały naród wykaże dostateczną zdolność do stworzenia żywotnego i silnego organizmu polityczno-społecznego i kulturalnego, czy też on istnieć będzie jako budowa sztuczna i wątła, która istnieje tylko dzięki przyjaznemu dla niej układowi warunków i którą każda gwałtowniejsza burza rozwali? Odpowiedź na to pytanie tkwi nie w woli, zamiarach i czynach pojedyńczego Gawła lub Pawła, ale w ogólnej masie polskiej. Gdybyśmy opierali naszą wróżbę na jednostkach, z dotychczasowych doświadczeń i przewidywań musielibyśmy wyprowadzić bardzo smutną, należy więc szukać znaków na całym obszarze narodu. Czy dostrzegamy pomyślne i podtrzymujące chwiejną nadzieję? Widzimy je w rozmaitych punktach, ale najliczniejsze i najwyraźniejsze w Wielkopolsce.

Urządzona w Poznaniu wystawa krajowa mówi daleko więcej, niż zwykły tego rodzaju popis zdolności i pracy. Sofistyka jest sztuką udowodniania najoczywistszych niemożliwości i nieprawdopodobieństw, a jest ze szczególnem zamiłowaniem uprawiana w Warszawie, gdzie gromadzi się najwięcej czynów i zamierzeń, potrzebujących wykrętnej obrony. Więc stolica wytłumaczyła krajowi, że dla wystawy słusznie wybrano Poznań, gdyż Wielkopolska jest najbardziej rozwinięta przemysłowo, że i t. d. Całe to gadanie jest ladajakim wnioskiem, z którego uśmiałby się sofista grecki, dowodzący, że Achilles nie dogoni nigdy żółwia oddalonego o kilkanaście kroków. Poznania bowiem nie wybrano i Wielkopolska nie jest z trzech dzielnic najbardziej uprzemysłowiona. Ona tylko najlepiej ocenia wagę spraw gospodarczych, ona posiada najwięcej energji, ona najjaśniej widzi i rozumie, że przyszłość Polski zależy nie od podziału władzy pomiędzy graczów politycznych, nie od zajęcia posad urzędowych przez szczęśliwych faworytów losu, wogóle nie od osób, ale od owoców pracy i kulturalnych zdobyczy i wysiłków narodu. Warszawa jest kotłem, w którym wrą osobiste pretensje, swary, ambicje, intrygi i zabiegi, jest miejscem nieustannej i zażartej walki o korzystne stanowiska i łupy, jest placem dla zapasów sportu politycznego między partjami a najczęściej starć bokserskich między jednostkami, jest teatrem, cyrkiem, boiskiem, polem wyścigowem, klubem gry hazardowej lub domem rozpusty, ale nie wielkiem ogniskiem życia narodu, nie upustem najsilniejszych nurtów i prądów jego energji twórczej. Łudzi nas fantasmagorja obchodów, pochodów, parad, uroczystości, nieprzerwany ciąg toastów, strzałów wiwatowych, trzepotu chorągwi, sztucznych ogniów, przechrztu ulic i placów, nabożeństw bałwochwalczych i zdaje nam się, że to są objawy wielkiej mocy i bujności życia! Tymczasem jest to tylko wrzawa, dym, gaz trujący, w najlepszym razie jarmark, karnawał, tańce, skoki gimnastyczne, podbijanie piłki nogami, słowem zabawa. Natomiast niech się wywiąże jakaś doniosła sprawa, niech się zdarzy jakiś ważny wypadek, klęska, nieszczęście, zbrodnia publiczna, niech się ukaże groźna chmura nad państwem, Warszawa odpowie anegdotą lub dowcipem. Możnaby ułożyć grubą księgę z tych niezliczonych objawów humoru, które były jedynem odbiciem tych zdarzeń. Podczas niewoli stolica nasza umiała zdobyć się na bohaterstwo, na głęboki smutek, na powagę i rozum, na miłość ojczyzny, na poświęcenie dla niej osobistych korzyści i celów, tymczasem teraz, kiedy w niepodległości wszystkie owe przymioty mogłyby objawić się z wielką mocą, ona we wstrząsających wypadkach zachowuje się bezwrażliwie, obojętnie, niewolniczo, tylko stale kpinkuje. Niewątpliwie jest w niej pewien procent dzielnych ludzi, szlachetnych obywateli i gorących patrjotów, ale oni swoją szczupłą liczbą nie nadają barwy opinji publicznej i stanowią zaledwie nikły jej odcień. Oto dlaczego urządzono wystawę nie w Warszawie, lecz w Poznaniu. Z tego samego powodu tam Paderewski wznosi pomnik Wilsonowi.

W stolicy zlekceważonoby zasługę prezydenta amerykańskiego, który pierwszy zażądał wskrzeszenia całej Polski, tu zaproponowanoby pomnik dla jakiegoś męża miejscowej i czasowej sławy, który o takiem wskrzeszeniu nie marzył, który go może nawet nie pragnął.

W wystawie poznańskiej, która powstała prawie wyłącznie energją, pracą i zdumiewającym wysiłkiem Wielkopolski, mamy pouczający dowód, jak samo życie, niezależnie a nawet wbrew woli doraźnych jego reglamentarzów, rozstrzyga spory i spełnia zadania narodu. Trzeba wmyśleć się w to *memento*.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZNOWU GROŹBA

WYDAWANY w Nowym Yorku dla lóż „*Bnei Brith Magazine*" w taki sposób oświetla stosunki, w których muszą żyć Żydzi w Polsce: *„Large numbers of Jews are without employment by reason of a boycott that seems to have for ist purpose the settling of the Jewish question by the destruction of Jews. A desperate economic situation prevails. These facts are reported in the same dispatches that tell of the approaching celebration of Polands independence"*.

(„Wielka liczba Żydów pozostaje bez zatrudnienia z powodu bojkotu, który — zdaje się — ma na celu rozwiązanie kwestji żydowskiej przez zniszczenie Żydów. Sytuacja gospodarcza jest przeważnie rozpaczliwa. O takich faktach donoszą w tych samych depeszach, które mówią o zbliżającem się święceniu niepodległości Polski").

Dowiadujemy się w ten sposób: 1) że w Polsce panuje bojkót Żydów, celem ich zniszczenia, 2) że informacje o bojkocie nadesłano w tych samych depeszach, w których zapowiadano obchód dziesięciolecia niepodległości Polski, a więc niewątpliwie depesze te do żydowskiego organu w Nowym Jorku przesłali Żydzi polscy, łącząc informację o bojkocie z zapowiedzią obchodu jubileuszowego.

Jak mogłoby to połączenie wyglądać? Oto przypuszczalna treść depeszy:

„Przed 10 laty na kongresie wersalskim udało nam się dopiero całym wysiłkiem wymóc podpisanie przed Polskę traktatu o mniejszościach. Aby ten cel osiągnąć, trzeba było nie tylko akcji prasowej o pogromach w Polsce, lecz nadto musieliśmy umyślnie poświęcić kilkanaście bród, by reprodukcjom z pogromów w Kiszyniewie nadać lokalne polskie zabarwienie. Teraz ma się w Polsce obchodzić uroczystość dziesięciolecia niepodległości. Tymczasem w stosunku do Żydów stosuje Polska bojkot. Żaden Polak nie kupuje u Żyda, żadna dostawa państwowa ani samorządowa nie dostanie się Żydowi. Z zimną krwią i iście słowiańskiem wyrachowaniem i umiejętnością organizacji zmierza Polska do rozwiązania kwestji żydowskiej przez zniszczenie Żydów. Wy — bracia amerykańscy z „*Bnei Brith*"— musicie Polakom przypomnieć, że ambasador Morgentau zgodził się na powstanie Polski niepodległej naszem imieniem ze znacznemi zastrzeżeniami. Napiszcie, że cofniecie umowę, jeżeli Polska nie zagwarantuje pożyczek niskoprocentowych, udzielonych z waszych funduszów na przepadłe kupiectwu żydowskiemu w Polsce.

Te bojkotniki nie chcą gwarantować".

Redaktor „*Bnei Brith*" odczytał depeszę i pokazał Polsce pięść.

Pierwsze ostrzeżenie.

H. R.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

O SYSTEM POLITYKI POLSKIEJ

WIZYTA p. Zaleskiego w Budapeszcie wywołała liczne komentarze w prasie europejskiej. W niektórych pismach, zwłaszcza niemieckich, usiłowano ją przedstawić, jako początek zwrotu w całym systemie polityki polskiej. Na podstawie głosów, które odezwały się w różnych organach prasy, można, mniej więcej, w sposób następujący ująć ten rzekomy zwrot w polityce rządu polskiego.

Dotychczas Polska szła w ogonie polityki francuskiej, Warszawa była całkowicie posłuszna Paryżowi. Obecnie polityka polska zaczyna się uniezależniać od polityki francuskiej. Oto fakty, które na to wskazują— zachowanie się rządu polskiego wobec pogrzebu marszałka Focha i przy odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Paryżu, zamiana poselstwa polskiego w Rzymie i włoskiego w Warszawie na ambasady, cały szereg popartych przez rząd polski usiłowań, zmierzających do zbliżenia się do Niemiec na terenie kulturalnym (wystawa artystów niemieckich w Warszawie, wycieczki literatów i uczonych polskich do Berlina, a pisarzy niemieckich do Warszawy i t. p.) podróż p. Zaleskiego do Budapesztu właśnie w dniu, gdy w Belgradzie odbywał się zjazd Małej Ententy, a w Rumunji był obchód dziesięciolecia zjednoczenia, wreszcie odłożenie wizyty ministra polskiego w Bukareszcie... Wszystko to ma świadczyć o oddaleniu się Polski od Francji, zbliżeniu do Włoch i do Węgier, o budowie jakiegoś samodzielnego systemu polityki polskiej, od systemu dotychczasowego zgoła różnego.

Nie będziemy się tu wdawali w rozpatrywanie zagadnienia, czy wywody powyżej streszczone mają jakąkolwiek podstawę faktyczną i czy wnioski z nich wysnuwane są słuszne. Chcemy natomiast zrobić co innego, chcemy się zastanowić nad tem, czy system taki, jaki przypisuje się Polsce, byłby rzeczywiście nowy, czy byłby dowodem niezależności polityki i do jakich prowadziłby wyników?

Naczelnym faktem w obecnej polityce kontynentu europejskiego jest niewątpliwie antagonizm francusko-niemiecki. Antagonizm ten jest tłem, na którem dokonywa się układ sił politycznych w Europie, a także największem niebezpieczeństwem dla trwałości pokoju europejskiego. Dążeniem Francji zwycięskiej w r. 1918 powinno być nietylko urtzymanie granic przeprowadzonych w r. 1919, lecz także swej przewagi i wpływów na terenie kontynentu europejskiego. Niemcy natomiast dążą do przywrócenia stanu terytorjalnego przedwojennego i do sprowadzenia pozycji Francji do tej, jaka była w r. 1914.

Jest rzeczą chyba jasną, po której stronie musi stać Polska, która nie może pragnąć ani przywrócenia granic przedwojennych Niemiec, ani też ich przedwojennej potęgi. Oto przyczyna, sens i tajemnica polityki polskiej w stosunku do Francji.

Sytuacja byłaby zupełnie jasna, nie mogłoby tu być żadnych nieporozumień i dwuznaczności, gdyby jednolitą, jasną i konsekwentną była powojenna polityka francuska. Taką, niestety, polityka ta nie jest. I trzeba dobrze zrozumieć rozdwojenie i wahanie polityki francuskiej, by sobie zdać sprawę z tła, na którem zrodzić

się mogą możliwości wahań i niejasności w polityce polskiej.

Polityka francuska, mając na celu utrzymanie nowego układu terytorjalnego w Europie, oraz utrzymanie pozycji, jaką Francji dało zwycięstwo, musi zmierzać do utrzymania sił wojskowych i politycznych własnych, oraz do utrwalenia sojuszów z innemi państwami, którym zagraża odbudowa sił niemieckich, oraz ich dążenie odwetowe. Ludziom myślącym we Francji kategorjami politycznemi takiemi, jakie przekazała tysiącletnia tradycja, narzuca się przeto system polityczny, polegający na utrzymaniu przewagi wojskowej Francji, na tendencji zbliżenia do Włoch, na rozbudowie sojuszów z państwami sąsiadującemi z Niemcami na wschodzie (Polska, Mała Ententa)... Te tendencje istnieją w polityce francuskiej, lecz obok nich, współrzędnie z niemi istnieją tendencje wynikające z ideologji „pokojowej“, z „systemu“ genewskiego. Ta ideologja powiada, że w r. 1919 rozpoczął się nowy okres w życiu politycznem świata, że zbankrutowała zasada równowagi, że skończyła się „stara“ dyplomacja, opierająca wszystko na sile i na sojuszach, że nastała „nowa era“ braterstwa ludów, że należy wypowiedzieć „wojnę wojnie“, że pokój wieczny da się ustalić przez rozbrojenie moralne narodów i t. d. Z powyższego rozumowania zaś wynika z żelazną logiką praktyczne wskazanie polityczne: kamieniem węgielnym pokoju powszechnego jest doprowadzenie do porozumienia między Francją a Niemcami.

W biurach ministerstwa spraw zagranicznych na Quai d'Orsay, wśród przedstawicieli „dawnej“ dyplomacji a zwłaszcza w sztabie generalnym panuje jeszcze duch „starej“ Francji, tej, która wydała Richelieu'go, Ludwika XIV, Wielkiego Kondeusza, Turenne'a i tylu innych, w sferach natomiast kierujących dziś polityką francuską, tych, które wyszły z parlamentu, zyskuje sobie coraz mocniejszy grunt nowa ideologja. Polityka codzienna Francji jest przeciętną tych dwóch systemów i dlatego brak jej jasności i konsekwencji, łączyć się bowiem stara dwie rzeczy, które połączyć się nie dadzą, a mianowicie: utrzymanie traktatów i nowych granic w Europie i równocześnie ugodę z Niemcami.

System tradycyjny polityki francuskiej nakazywałby utrzymanie przewagi wojskowej Francji, nie pozbywanie się gwarancji w postaci okupacji Nadrenji, nie współdziałanie w odbudowie sił gospodarczych, wojskowych i politycznych Niemiec, szukanie zbliżenia z Włochami, rozbudowę sojuszów z państwami położonemi na wschód od Niemiec, wreszcie zastosowanej do tego wszystkiego polityki rosyjskiej.

System oparty na ideologji pacyfistycznej nakazuje co innego. Podstawą jego jest porozumienie z Niemcami, stąd zaś zrodziło się Locarno, wejście Niemiec do Ligi Narodów, wciąż postępująca redukcja nałożonego na nie ciężaru odszkodowań, zniesienie kontroli nad zbrojeniami, wreszcie usunięcie się z Nadrenji. Temu wszystkiemu zaś towarzyszą wysiłki celem kulturalnego zbliżenia francusko-niemieckiego. Politycy francuscy, wykonywający ten system, zdają sobie sprawę z tego, że warunkiem zgody między Francją a Niemcami jest zgoda między Polską a Niemcami, oraz między Węgrami a państwami należącemi do Małej Ententy. Chodzi wszak o to, by idylli nad Renem nie zakłóciły jakieś spory nad Wisłą lub Dunajem. Stąd wniosek jest prosty: polityka zgody francusko-niemieckiej nakazuje popieranie zgody polsko-niemieckiej, zgody czesko-jugosłowiańsko-rumuńsko-węgierskiej, polsko-węgierskiej i t. d. Gdyby p. Zaleski miał być rzeczywiście pośrednikiem w braterstwie węgiersko-rumuńskiem i w zbliżeniu francusko-węgierskiem, to polityka jego szłaby po linji ideologji i polityki zbliżenia francusko-niemieckiego. Zbliżenie zaś francusko-węgierskie może być pojęte jako środek prowadzący do pokrzyżowania polityki włoskiej na Bałkanach i w państwach sukcesyjnych monarchji Austro-Węgierskiej. To bowiem trzeba zapamiętać, że zwolennicy ugody francusko-niemieckiej są nieprzejednanymi i konsekwentnymi wrogami Włoch faszystowskich, a poniżenie tych Włoch na terenie międzynarodowym uważają za jeden z najważniejszych celów swej polityki.

Dla właściwej oceny dążeń pojednawczych francusko-niemieckich trzeba pamiętać o tem, że są one gorąco popierane przez Niemcy. Na tej polityce opierają Niemcy plan odzyskania swych przedwojennych granic i swej przedwojennej potęgi w Europie. Pacyfizm wszecheuropejski, rozbrojenie moralne i materjalne Francji, zgoda z Francją mają—według planu niemieckiego—stworzyć warunki dogodne dla nowego rozbioru Polski. Któż bowiem zechce — powiadają Niemcy — w miłującej pokój Europie wywołać katastrofę wojenną dlatego, by zadowolić „imperjalistyczne marzenia“ Polski, wyrażające się w postaci posiadania przez nią Pomorza?!

Zapytajmy teraz, czego mogą żądać od Polski te sfery francuskie, które budują cały system polityki francuskiej na zgodzie z Niemcami?

Odpowiedź jest prosta: Polska powinna dojść do zgody z Niemcami, współdziałać w ugodzie między Czechami a Niemcami, pośredniczyć w ugodzie między Węgrami a Francją, między Węgrami a Rumunją, spacyfikować przez to Europę środkowo-wschodnią i usunąć grunt z pod nóg dyplomatów włoskich.

Taka polityka Polski odpowiadałaby też w zupełności celom polityki niemieckiej, należałoby ją tylko — z punktu widzenia niemieckiego—uzupełnić polityką antyrosyjską, by przez to usuwać możliwość zbliżenia polsko-rosyjskiego i ułatwiać Niemcom gruntowanie swych wpływów politycznych w Rosji, albowiem dla dokonania rozbioru Polski, oprócz rozbrojonej moralnie i materjalnie, zamiłowanej w pokoju i połączonej z Niemcami węzłami przyjaźni Francji, potrzebne jest jeszcze—jak w wieku XVIII po nastraszeniu Katarzyny II przymierzem polsko-francuskiem—porozumienie z Rosją sowiecką przeciw Polsce.

Powtarzamy raz jeszcze — nic nie wiemy o tem, czy istnieje zamiar zmiany w orjentacji polityki polskiej, nic nie wiemy o tem, czy można mówić o takim systemie polityki polskiej, o jakim rozpisały się pewne pisma z okazji wizyty p. Zaleskiego w Budapeszcie.

Wiemy natomiast i staraliśmy się to uzasadnić powyżej, że gdyby system takiej polityki istniał, to sens i wynik jego byłyby zgoła inne, niż te, o jakich pisały dzienniki poza granicami naszego kraju.

System taki nie byłby wcale usamodzielnieniem polityki polskiej. Byłby on wprawdzie uniezależnieniem polityki polskiej od wskazań wysnutych z geografji, historji i współczesnego położenia politycznego w Europie, lecz byłby natomiast zupełnem uzależnieniem od tych dążeń w polityce francuskiej, które, gdyby były urzeczywistnione, doprowadziłyby do rozbioru Polski (bo rozbiór Polski jest niezbędnym warunkiem ugody francusko-niemieckiej), a przez ten rozbiór do katastrofy nad Renem, podobnie jak w niedawnej przeszłości po Sadowie nastąpił Sedan.

System taki byłby w istocie swej skierowany przeciw Włochom, prowadziłby do pogłębienia nieporozumień między Włochami a Francją, pchałby Rosję do ścisłego i trwałego związania się z Niemcami, służyłby przedewszystkiem polityce niemieckiej i współdziałałby w przygotowaniu gruntu dla hegemonji Niemiec w Europie.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

KSIĄŻKA O FRANCUSKICH NAUCZYCIELACH-SOCJALISTACH

RENÉ Benjamin, znakomity prelegent (miał wykłady i u nas w Polsce przed kilku laty), świetny polemista, pierwszorzędny krytyk literacki napisał nadzwyczajnie interesującą książkę p. t. „*Aliborons et démagogues*". Daje ona wyjątkowo dowcipny a zarazem zadziwiająco przenikliwy obraz działalności francuskich nauczycieli-radykałów.

Punktem wyjścia dla autora był walny zjazd zawodowych związków socjalistycznych nauczyciell szkół powszechnych, odbyty w Strasburgu w r. 1927. Przemówienia poszczególnych mówców, rozmowy z niektórymi uczestnikami zjazdu, ogólne charakterystyki przywódców i natrząsanie się nad głupotą radykalnych pedagogów i ich napuszoną zarozumiałością są podane z nieubłaganem szyderstwem, w stylu, przypominającym pisma polemiczne Nowaczyńskiego.

Artykuły te, ogłaszane w pismach codziennych, wywołały przeciw autorowi, „kalumnjatorowi szkoły świeckiej", prawdziwą burzę nienawiści: obrażeni uczestnicy zjazdu zasypywali go listami obelżywemi, nadto organizacje lewicowe rzuciły hasło, by nigdzie nie dopuścić do głosu groźnego przeciwnika, nawet gdy zapowiadał konferencje na tematy czysto literackie. Trafiła jednak kosa na kamień. Przy pomocy swoich przyjaciół politycznych urządzał p. Benjamin w rozmaitych miastach prowincjonalnych odczyty, a demonstracje przeciwników dawały mu tylko nowy materjał do ich ośmieszania, jak też i szydzenia z przedstawicieli radykalnego rządu, zmuszonych domobilizowania setek policjantów, by powstrzymać wyjących demonstrantów. W niektórych miastach dochodziło do krwawych bójek, a w St. Etienne do strzelaniny, podczas której zabito niewinnego człowieka.

W tych walkach, prowadzonych z zaciekłą namiętnością i wzajemną nienawiścią, uderza nas najbardziej to, że namiętność tę okazuje pisarz w obronie tradycji, że używa straszliwej broni szyderstwa przeciw tym, którzy dotychczas mieli jakby monopol na urwiszowski ton polemiki drażniącej, nie liczącej się ze słowami i szarpiącej honor przeciwnika. Chcąc ośmieszyć i upokorzyć radykalizm nauczycieli szkół powszechnych, p. Benjamin nie waha się używać tej samej broni.

Oto z jaką straszliwą ironją i bezceremonjalnością charakteryzuje nauczyciela-socjalistę: „Jest to człowiek na pierwszym stopniu wiedzy, który uważa, że jest na ostatnim, ponieważ już sam widok elementów wiedzy i użycie kilku wyrazów naukowych oszołomiły go... Głowę opartą na kołnierzyku z celuloidu obnosi pełen dumy, sztywny i napuszony. Niepodobna z nim porozmawiać, gdyż on tylko monologuje i z wysoka rzuca puste formuły dydaktyczne. Przy lada sposobności wygłasza słowa: ewolucja, wolność, przyszłość, pozostając zamkniętym i niedostępnym dla wszelkich przejawów życia.

Nie tylko minę ma zadowoloną, on jest naprawdę zadowolony i to właśnie jest najgorsze. Takie bowiem zadowolenie wyklucza u człowieka wszelki umiar, zdrowy rozsądek, roztropność umysłu i delikatność serca. Biedaczysko jest pewne siebie tą pewnością nieszczęsną, która prościutko popycha go do najdelikatniejszych tematów: armja i religja. Nie zastanawia się on nad niczem i żadnych nie przeprowadza doświadczeń. Nie zna on bezpośrednio najprostszych zjawisk życiowych, jest on ofiarą książek. I jakich książek? Mądrych? Świętych? Nie, on czyta książki członków „Ligi obrony praw człowieka". On je czyta i powtarza. Połyka i oddaje. Co? Definicje. On definjuje wszystko. Usta swe otwiera tylko po to, by wygłosić jakiś pewnik, zwłaszcza o tem, co jest najbardziej niepewne.

„Ja sądzę, że..." oto jego ulubione słowa. To „ja" nic nie znaczy. Szukając duszy, nie znajdziemy jej, lecz tylko słowa, echo, pustkę..."

Możemy sobie wyobrazić, jak wyglądają narady na walnym zjeździe takich zarozumialców. Strasburg ze swoją starożytną tradycją, cudowna gotycka katedra (która dla postępowców jest „tylko wspaniałą pamiątką dawnych etapów rozwoju ludzkości") stanowią tło, na którem jeszcze jaskrawiej występuje pustka i zarozumiałość uczestników zjazdu. Autor drwi z mówców, wciąga podczas przerw obiadowych niektórych związkowców w dyskusje, bawiąc ich głupotą; to znów analizuje bystro i dowcipnie umysłowość t. zw. postępu.

Książka przepojona jest subjektywizmem autora, co występuje najwyraźniej w konkluzji zwróconej bezpośrednio do socjalistycznych nauczycieli:

„Lata całe tracą ludzie rozumni, by dyskutować z tymi pedagogami w sposób poprawny, godny i nudny. Dość tego. Czas najwyższy powiedzieć im wyraźnie to, co o nich sądzimy: że są idjotami. Z idjotami niepodobna inaczej postępować...

Poco kadzić osłom, zamiast ich wytykać? Dlatego, że to jest niegrzecznie. Ależ my nie jesteśmy w salonie i musimy się bronić. Śmieszną rzeczą jest uśmiechać się do głupców, tolerować ich pod pretekstem, że „każdy człowiek ma prawo mieć swoją opinję". Głupi aksjomat! Czyż ludzie mają prawo zabijać? Głupota zabija. Nikt więc nie ma prawa być zbyt głupim. Pozostaje jedyny sposób: wytykać głupotę palcem, aby wszyscy mieli się przed nią na baczności, ponieważ niema zarazy bardziej niebezpiecznej.

Powiedziałem więc tym idjotom raz na zawsze: Twierdzę, że jesteście idjotami, kiedy mówicie o religji. Znam wielu ludzi subtelnych, których oburza wasz brak szacunku dla uczuć religijnych. Nie podzielam ich wstrętu. Wasza wulgarność z chwilą, gdy się dotyka rzeczy świętych, jest zbyt płaska, by wywoływała we mnie gorycz. Jakkolwiek słowa moje mogą się wam wydać tajemnicze i nieoczekiwane, twierdzę, że religja przekracza wasz widnokrąg duchowy. Żadnych wyjaśnień nie myślę wam dawać, nie mam bowiem zwyczaju czytać Platona z moim sklepikarzem.

Twierdzę, że jesteście idjotami, kiedy odrzucacie historję, nie chcąc czerpać nauki z dziejów minionych. Historja jedna mogłaby was wyleczyć, dać wam ziarno mądrości i nakłonić was przez swe tragiczne przykłady do zajęcia stanowiska skromnego, pełnego zadumy, które jedynie przystoi człowiekowi, chcącemu coś naprawdę rozumieć. Zamiast tego wpadacie w głupi zachwyt nad przyszłością, jakgdyby ta przyszłość była czemś innem niż mgławicą!

Twierdzę, że jesteście idjotami przez cały wasz patos rewolucyjny, przez wasz ton sztuczny i fałszywie uroczysty. Mina każdego z was przypomina pogrzeb cywilny.

Tak. Sprawę jasno postawiłem. Niechaj mnie nikt nie oskarża, że się złośliwie znęcam. Ależ ja nie zarzucam idjotom, że są idjotami: takie bezcelowe ogłaszanie ich nieszczęścia świadczyłoby istotnie o mojej złośliwości. Gdyby byli sobie idjotami skromnie, bez hałasu, z pewnością zostawiłbym ich w spokoju: należę bowiem do tych, którzy wierzą w nieodwołalną nędzę ludzką. Ale to są idjoci zarozumialcy, idjoci przekonani o tem, że są myślicielami i z tego tytułu—jakież to naturalne — pragną wszystkiego, chcą rządzić wszystkiem i to mnie zmusza do walki.

Pod pretekstem wychowywania dzieci oni kontrolują rodziców. Przygotowują wybory, kierują radami gminnemi, lożami masońskiemi, komisjami wyborczemi— streszczają tyranję i są jej symbolem".

Przytoczyłem ten może nieco za długi ustęp, aby dać przykład stylu autora; podobnych ustępów jest mnóstwo w książce.

Miałem jednak i drugi cel: zwrócić uwagę na uderzające podobieństwo francuskich radykałów do naszych „postępowców". Zdumienie ogarnia, jak dalece wspólne są śmieszności i niebezpieczeństwa radykalizmu. Różnice są tylko ilościowe. Niewątpliwie olbrzymia większość naszego nauczycielstwa, przeniknięta duchem narodowym i religijnym, wolna jest od szału wywrotowego i rzetelnie pracuje w swoim ciężkim i odpowiedzialnym zawodzie. Są naturalnie tacy i we Francji i p. Benjamin poświęca im kilka pięknych zdań z wyrazami czci i hołdu. U nas jednak jest ich więcej, mimo nawet pozorów przeciwnych.

Większość nauczycieli szkół powszechnych skupia się w radykalnym „Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych", ale naprawdę radykałami uświadomionymi są nieliczni sprytni przywódcy. O nich to głównie zabiega Rząd, dla nich to urządza się podczas corocznych zjazdów rauty na Zamku, oni też odwdzięczają się przy wyborach wszelkiego rodzaju, w organizowaniu „Strzelca", rozmaitych imprez rzekomo oświatowych i dożynkowych. Nie mają oni jeszcze odwagi rozpocząć otwartej walki z religją, ale już przygotowują sobie podkopy do ataku przez wystąpienia przeciw obowiązkowym praktykom religijnym. Naiwna większość członków „Związku" bezwiednie spełnia rolę służalców internacjonalizmu, którego głównym celem jest wytępienie uczuć religijnych, jako najsilniejszej podstawy obecnego ustroju społecznego i narodowego. Większość prezesów „Ognisk" uważa się za kierowników nauczycielstwa, tymczasem oni właśnie są kierowani. Podobną uwagę robi p. Benjamin: *„Ils se croient meneurs, ils sont menés"*.

Nie brak nawet objawów, że socjaliści rozpoczynają obecnie pracę bardziej ruchliwą i zupełnie otwartą wśród szeregów nauczycielskich. Z końcem kwietnia „Robotnik" otworzył nowy dział p. t. „Trybuna nauczyciela-socjalisty", poświęcony walce „przeciw reakcji, przesądom, wstecznictwu i bezduszności w szkolnictwie i wychowaniu". Jakżeż żywo tych kilka słów przypomina przemówienia radykałów ze zjazdu w Strasburgu: ten sam brak skromności i niebaczne rwanie się do reformowania wszystkiego.

Tacy „myśliciele" nie będą przecież poniżać się, by uczyć dzieci pisać i czytać, nie będą też zaprawiali dziatwy szkolnej do życia pracowitego i oszczędnego, a więc do warunków, które twarda rzeczywistość wszystkim nam narzuca, a które tylko dzięki zgodnej i długiej pracy pokoleń mogą się poprawiać. Oni, jako doradcy ludu, czują się powołani do spełnienia wyższego zadania: do wychowania przyszłych wyborców.

„Trzeba przecież te dzieci oswobodzić". Ale od czego? Od tego, co one wnoszą do szkoły z domów katolickich i narodowych, a co jest najwartościowszym i najsubtelniejszym wytworem pracy tysiącletniej naszego narodu. Mianowicie trzeba koniecznie zastąpić „ciasny" patrjotyzm przez szeroką i wzniosłą miłość „Ludzkości", następnie należy uwolnić przyszłych towarzyszy od bojaźni Bożej i wyrobić w nich poczucie straszliwych krzywd społecznych, wreszcie, zamiast „baśni" o dawnych królach i bohaterach, musi się dać młodzieży zapomocą nauki poglądowej i kina szkolnego — „pewniki wiedzy".

„Aliborons et Démagogues" idą. Pierwsze już szeregi gromadzą się koło „Trybuny Nauczyciela-Socjalisty".

T. D.

NAUKA I LITERATURA

GŁOSY ZIEMI

DUŻĄ żywotność wykazuje młody poeta krakowski, przedstawiciel najmłodszego pokolenia Józef Al. Gałuszka, wydając w przeciągu niespełna 10-u lat siedem tomików poezyj. Ostatni jego zbiorek p. t. „Głosy ziemi" (Warszawa 1929. Nakład F. Hoesika) jest dokumentem stosunku Gałuszki do przyrody, stosunku zgoła odrębnego, niż u wielu reprezentantów dzisiejszej poezji polskiej, stawiających wyżej martwą maszynę aniżeli żywą naturę, zgiełkliwe, duszne miasto, aniżeli cichą, pogodną wieś. Czując wrodzone, plemienne przywiązanie do ziemi ojczystej, daje tu Gałuszka tym swoim uczuciom poetycki wyraz. Najnowszy jego tomik, w trzech czwartych zawartości poświęcony właśnie opisowi przyrody, otwiera „Hymn" na cześć ziemi polskiej wyśpiewany:

„Ziemio polska, kolebko nasza,
szumiąca zbożem wkrąg naszych gniazd —
ty coś karmiła ojców i dziadów
chlebem i mlekiem, jak karmisz nas,
ziemio niw złotych, rumianych sadów
...bądź błogosławiona"!

Ta nuta dziękczynienia dla „świętej matki naszej, ziemi-żywicielki", to zasadniczy, najgłębszy ton, który stanowi niejako motyw przedni całego cyklu. Z kultem przyrody łączy się apoteoza pracy rolnika, której poeta nadaje nieomal obrzędowy, liturgiczny charakter (np. „Młocka").

Umiłowanie przyrody wyprowadza poetę z dusznych i mrocznych ulic miasta w słoneczne opłotki wsi, której pochwałę śpiewa Gałuszka, roztaczając przed nami urzekający obraz sielanki:

„Olbrzymie tarcze słoneczników toczą się wokół chat
niby promienne słońca, jak przed setkami lat — —
I zawsze—jak przed wiekami—na strudzonego człeka
czeka bochen razowca i gar słodkiego mleka" — —

Piękny ten wiersz nabiera znaczenia programowego, jeżeli zwrócimy uwagę na wyrażone w nim przeciwstawienie cichego a wiecznotrwałego piękna przyrody— zgiełkliwej a przemijajacej nowoczesności:

„Gdzieś tam daleko jazzbandy i grzmi radjo-koncert —
tu grają pszczoły wśród kwiatów i pachnie ziemia i słońce —
Nie czytuje się tutaj ksiąg grubych i pustych gazet —
sens życia w niebie i w ziemi"...

Przez usta Gałuszki przemawia tutaj najnowocześniejszy człowiek, przesycony tą właśnie wyrafinowaną kulturą nowoczesności, stąd tęskniący za powrotem do natury, za prostotą form bytowania, za radosnym spokojem, który się w bezpośredniem obcowaniu z przyrodą zdobywa.

Owocem tego naiwnego, serdecznego obcowania z naturą są właśnie „Głosy ziemi". Zawierają one w swej części piewszej zamknięty w sobie cykl utworów, składających się w sumie na pochwałę ziemi polskiej, na pochwałę piękna polskiego pejzażu, który oglądamy w coraz to innem oświetleniu i nastroju w miarę kolejno zmieniających się czterech pór roku. Oto przesuwa się przed naszemi oczyma filmowa taśma zdjęć poetyckich: kwitnące z wiosną jabłonie, bzykający wśród klombu naparstnic kosmaty trzmiel, letni deszcz w słońcu, chaty wiejskie w kępach malw i słoneczników, modre oko stawu, obrosłego rzęsami rokicin, żniwa, sad pełen dojrzałych owoców; to znów fioletowe o zmierzchu bory, konające w parku dęby-starce, melancholja jesiennej szarugi, żałosna spowiedź spadających liści, a wreszcie niepokalana biel pierwszego śniegu, księżycowa baśń nocy grudniowej i wiele wiele jeszcze innych tym podobnych obrazów.

W drugiej swej części przynosi nowy tomik Gałuszki garść wierszy okolicznościowych i patrojotycznych.

Pod względem formalnym zerwał Gałuszka już od paru lat z dawnym szablonem wersyfikacyjnym, w miejsce równego rytmu i pełnych rymów wprowadzając coraz częściej szorstką, dyssonantyczną, ale niepozbawioną nieraz uczuciowej ekspresji rytmikę oraz spółdźwięki assonansów. Odczuwając elementarną muzykę przyrody, stara się ją autor „Głosów ziemi“ oddać w poezji zapomocą odpowiednio instrumentyzowanej muzyki słów, głównie przez uwydatnienie ich dźwiękowej, onomatopeicznej wartości (jak np. w „Trzmielu“ lub w „Grającym stepie“). Pozatem kładzie Gałuszka wielki nacisk na artystyczne, coraz staranniejsze opracowanie swego poetyckiego stylu i języka. Przejawia się to w malarskiej kolorystyce i realistycznej wyrazistości obrazów, w bogactwie wyszukanych porównań i uderzających grą niespodziewanych assocjacyj przenośni.

RAJMUND BERGEL

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazał się się handlu księgarskim drugi tom znakomitego dzieła prof. Romana Rybarskiego p. t. „Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu“ (Poznań 1929. Nakładem Tow. Miłośników m. Poznania. S. 344). Tom ten zawiera tablice i materjały statystyczne, uzupełniające obraz historyczny, podany w tomie pierwszym. Cenne to dzieło, przynoszące zaszczyt autorowi i wydawcy, którym jest miasto Poznań, zbogaca naszą historję znakomitemi zdobyczami. Cena obu tomów wynosi 36 zł., a nabywać je można u Gebethnera i Wolffa w Warszawie, gdzie są na składzie głównym.

*

Stanisław Szpotański jest obecnie, po Szczuckiej i Ligockim, najwybitniejszym reprezentantem powieści historycznej, płodnością zaś na tem polu przewyższa oboje swoich kolegów. Ostatnio u św. Wojciecha w Poznaniu wydał ciekawie napisaną powieść p. t. „Odloty“, osnutą na tle wyprawy Zaliwskiego. Kompozycja jest nieco luźna — zapewne umyślnie. Osoba Kownackiego, która technicznie spaja większość rozdziałów i sytuacyj, nie jest wcieleniem silnej jakiejś idei, planu czy myśli; ten żołnierz rębacz, idący walczyć tam gdzie mu każą, ma chwile czysto ludzkich, powszednich wahań, nieprzemyślanych porywów, afektów, a nawet czysto hreczkosiejskiego utylitaryzmu; w swej całej budowie psychicznej jest tęgim okazem człowieka zacnego ale przeciętnego, którego czytelnik może darzyć nawet sporą sympatją, ale nie uzna za charakter wybitny. Ale bo też autor użył go nietyle celem rozwinięcia pewnej—miłej zresztą—intryżki miłosnej (czy raczej dwóch, z których pierwsza, acz stanowiąca podnietę wyprawy Kownackiego do Królestwa, zbyt prędko ulega zapomnieniu ze strony rzeczowego Kownackiego, a może samego autora), ile raczej po to, by przez kontrast uwydatnić silną postać i charakter właściwego, acz na drugi plan akcji zsuniętego, bohatera powieści. Bohaterem tym jest Artur Zawisza Czarny, stracony za knowanie zamachu na Paskiewicza. Przepiękna jest — mogąca stanąć obok Rolissonowej z „Dziadów“ i obok „Hekuby“ z „*Gloria victis*“ Orzeszkowej — postać matki skazańca, której boleść wywiera wrażenie i decydujący wpływ nawet na duszę Anny Paskiewiczówny. Dramat tej Rosjanki, której los kazał być córką kata, przedstawił Szpotański dyskretnie ale mocno. Inne epizodyczne postaci — poza dwiema uczestniczkami spisku: panną Klarcią i panną Basią — są tylko konturami zaznaczone. Postać panny Basi — nieubłaganie mściwej i niekiedy wprost zacietrzewionej—w kilku momentach psychologicznych trochę jest niejasna.

*

Śląsk zajmuje coraz poważniejsze stanowisko w życiu kulturalnem Polski. Gwara śląska, dawniej wyśmiewana jak rzekomo „wasserpolska“, doszła przez utwory Ligonia, Szczuckiej, Morcinka do znaczenia wielkiego w literaturze, śmiało idąc w zawody z kaszubską i podhalańską; badacze i miłośnicy starych obrzędów, podań i tradycyj Śląska niezbicie stwierdzili, że — wbrew roszczeniom niemieckim — kultura tej dzielnicy jest rodzimie polską, często czystszą w swej polskości niż wiele innych okolic naszego kraju. A jak są ślązacy dumni ze swej kultury, ze swych tradycyj i ze swej łączności z całą Polską, dowodem kwartalnik literacki, noszący nazwę „Zarania śląskiego“, który założony w r. 1907 rozwijał w czasach przedwojennych żywą działalność. Obecnie pismo to zostało wznowione dzięki inicjatywie kilku literatów śląskich i przy poparciu całego społeczeństwa śląskiego. W redakcji są: M. Asanka Japoll, Paweł Bocek, F. Czapla, dr. Ernest Farnik, Przybyła i inni. Pierwszy numer przedstawia się pięknie i bogato. Arcyciekawy jest artykuł prof. L. Kobieli, „Karol Miarka jako folklorysta regjonalny“; zasłużonego działacza i budziciela polskości, o którym się wie przeważnie tylko jako o twórcy istniejącej po dziś dzień drukarni i księgarni mikołowskiej, poznajemy tu jako literata — powieściopisarza oraz etnografa; słusznie nazywa go autor „jednym z najwybitniejszych pisarzy ludowych w Polsce“. Ciekawe wielce są też sylwetki innych pisarzy śląskich: Jana Łyska i Nikodema Jaronia, z których drugi jest bohaterem poległym za Polskę, a pasowanie rycerskie na poetę wziął z rąk Jana Kasprowicza. Piękne są utwory Morcinka: „Odpust Karwiński“, Przybyły „Święta Barboska a Skarbnik“ (skarbnik — duch kopalni, zużytkowany przez przez Gruszeckiego w powiecie „Krety“). Resztę zeszytu wypełnia bogaty dział etnograficzny, podający obyczaje wigilijne i weselne, pieśni ludowe i t. d. Na uwagę też zasługuje „przekład“ (raczej przeróbka) bajki Piotrowskiego „Zła żona“ na djalekt górnośląski, pióra Stanisława Ligonia.

*

Literatura rumuńska, choć ponoć z polską wiele ją łączy, jest nam nader mało znana. Sławą pewną, raczej dzięki swym tytułom, niż dziełom cieszyły się u nas dwie rumuńskie królowe-literatki: stara Carmen Sylva i obecna królowa Marja, będąca jednak Angielką, piszącą po angielsku. Jej dzieło „Głos u szczytu“, przełożone poprawnie przez Z. Rąbską, jest przeważnie echem Tagore'a, a treść ma nader wątłą i powszednią. Ostatnio wiele hałasu narobiły utwory zrumunizowanego Greka, Panait Istrati, które na gwałt zaczęto tłumaczyć. Z dzieł tych jedno tylko „Kodyn“, mające za główny wątek motyw „braterstwa ślubnego“ odznacza się nieco większą wartością a przytem jest tłumaczone starannie (czasami aż zanadto) przez W. Zechentera. Inne powieści tegoż Istratiego opowiadające o hajdukach bałkańskich, to istne ramoty, nudne a okropne, przytem tłumaczone w sposób wołający o pomstę do nieba, przez jakąś „spółkę“ Zoda-Mares, pewno z Nalewek rodem. Czyż nie lepiej, gdy chodzi o poznanie Bałkanów pod jarzmem tureckiem i z czasów uniezależniania się, wydać ponownie „Uskoki“ Jeża, sto razy ciekawsze i większą mające wartość literacką, niż te potworności hajduckie?

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W zbiorze pamiętników i dokumentów, odnoszących się do wielkiej wojny („*Collection de mémoires pour servir a l'histoire de la guerre mondiale*“), wydana została książka Aleksandra Kiereńskiego p. t. „*La Révolution Russe*“ (1917 r.) Payot Paris. Str. 399.

Autor, który tak wybitną rolę odegrał w rewolucji rosyjskiej, zakończonej triumfem bolszewizmu, przedstawia jej przebieg oraz główniejsze wypadki, nie tak jak one przedstawiają się dzisiaj objektywnemu badaczowi, lecz tak jak widział je i przeżywał ktoś, kto stał w ogniu walki. Wprawdzie autor stara się odtworzyć wypadki rewolucji rosyjskiej 1917 r. zgodnie z rzeczywistością, niemniej jednak zależy mu również na tem, by winą za niepowodzenia obciążyć przeciwników t. j. bolszewików z jednej strony, z drugiej zaś kontr-rewolucjonistów z prawicy (zamach generała Korniłowa i t. p.), zasługę zaś całą ratowania Rosji, po obaleniu caratu, przypisać rządowi tymczasowemu, no i sobie.

Pozatem chodzi mu o to, by przekonać czytelnika, że kontr-rewolucja bolszewicka jeśli się udała, to wcale nie dlatego, iż, jak to utrzymują, ideologja bolszewizmu odpowiadała „dzikiemu, azjatyckiemu charakterowi rosyjskiego narodu“.

Są w tej książce bardzo znamienne wynurzenia osobiste autora, są ciekawe oceny ludzi i zdarzeń, noszące wszakże charakter o wiele późniejszego ich przemyślenia, niż to było możliwe „w ogniu walki“.

Tak np. Kiereński powiada: „Gdyby Lenin i jego akolici byli obdarzeni setną częścią tego ducha wyrzeczenia się własnych ambicyj i próżności; gdyby posiadali chęć bezinteresownego służenia krajowi oraz ludowi, — czem się wyróżnili tacy miljonerzy, jak Tereszczenko i Konowałow, taki przedstawiciel typowy ziemian rosyjskich, jak książe Lwow, taki inteligent liberalny, jak Szingarew, Rosja prawdopodobnie uniknęłoby tej Golgoty, do jakiej została doprowadzona wskutek ślepej, bezsensownej i bezużytecznej walki klas, wywołanej przez niepoczytalnych demagogów bolszewizmu“.

Tego rodzaju oświetleń ludzi i wypadków sporo znajdujemy w książce Kiereńskiego, ciekawej i napisanej z talentem.

*

Znany krytyk francuski, P. Lasserre, autor rozgłośnych książek, jak „*Le Romantisme français*“, „*Cinquante ans de pensée française*“, „*La jeunesse de Renan*“ i t. p., wydał ostatnio szereg swoich studjów p. t. „*Faust en France et autres études*“. W naczelnem studjum przeprowadza doskonałą paralelę pomiędzy genjuszem niemieckim i francuskim. Pozatem są tu szkice poświęcone: H. Taine'owi, Boutroux, A. France'owi, Barrès'owi, Bédier'owi, H. Régnier i in.

OFENSYWA

„MAUROIS" i „LUDWIG"

JAK się to przewidywało dwa lata temu, i ten pan piszący pod nazwiskiem „Maurois" i ten drugi pan Emil Ludwig (Cohn pod przyłbicą) są już znakomitościami światowymi (*Weltberühmt*).

Nie dało się inaczej. Nie było nikogo innego. Robiło się próby z innymi, ale się nie powiodły. Zmierzch bożyszcz poprzednich nastąpił bardzo szybko. Zaledwie po kilka sezonów błyszczały na firmamencie nowe gwiazdy ludzkości: Einstein, Chaplin, Coogan, Woronow, Ellman. Potem próbowało się kolejeno z Ehrenburgiem (nieudałe), z Proustem (nieudałe), Chagall (nieudałe)... Nikt się lepszy nie zjawiał na horyzoncie. Już nie można było dłużej czekać i odwlekać... W ostatnim momencie przed decyzją zjawił się jeszcze Alfred Mond (lord Melchett) i miał odegrać rolę „Marxa na opak", ale po próbie przepadł. Wobec tego zdecydowano się rozłożyć światowy szampionat na dwóch kandydatów, tym razem literatów niby, jednego z Paryża, drugiego z Berlina. Losy padły na André „Maurois" i na Emila Ludwiga.

I oto trzeba teraz obserwować jak takie balony wydymają i puszczają w świat. Niema już ani jednego dziennika na globie, gdzieby nazwiska tych dwóch sław się nie przewinęły. Każdy piszący semita poczuwa się do obowiązku solidarności i w obrębe swej działalności przypomina raz Maurois raz Ludwiga. Szczególnie zaś wychrzty z nowemi nazwiskami, zasymilowane „bez reszty", zażarte są w spełnianiu swych powinności; taki p. Wassercug — Wasowski, (markiz z Płocka) nie zasnąłby, gdyby w swojej „Epoce" nie przemycił reklamy dla któregoś starozakonnika. Teraz każdy taki „Widz" w Melbourne, w Valparaiso w Będzinie musi przynajmniej dwa razy na miesiąc wspomnieć albo o „Maurois" albo o „E. Ludwigu". I już cała inteligencja wszystkich narodów świata jest pod suggestją tych dwóch nazwisk. Już musi uwierzyć, że to są autorytety.

W pewnym momencie każdy taki elekt Izra — Elity jedzie obligatoryjnie do Stanów Zjednoczonych i tam dostaje plombę amerykańską, poczem wraca do Europy i zwykle jedzie do Rzymu, aby tam zyskać audjencję... w Watykanie. Gdy wychodzi z Watykanu otacza go garść żydowskich reporterów włoskich. Ten sam, co był u Edisona, teraz dyktuje, z czem mu się niby zwierzał Ojciec Święty. I znakomitość gotowa.

Tymczasem oba dziś już sławne na całym globie Żydy to takie sobie średnio utalentowane, dobrze nakształcone, typowo wielkomiejskie feljetonisty, wygi z komiwojażerskim, fenomenalnie wyrobionym węchem dla tego towaru intelektualnego, który idzie. Takich „*essay*'istów" rasa Boernego i Brandesa rodzi tuzinami rocznie. Bywają też tęższi i fajniejsi od Ludwiga i Maurois. Ale węchem reporterskim na to, co arcyaktualne, w tej dozie, co oni, nie wszyscy są obdarzeni. Obaj zaczęli kiedyś od „*essay*'u" o Goethem. Semokracja bardzo proteguje Goethego, bo zdaje jej się, że Olimpijczyk był kosmopolitą, międzynadnarodowcem, „*Weltbürger*". Od Goethego zaczęli, — ale na politycznych geszeftach wypływają no i wpływają...

„Maurois" pochodzi z plutokratycznych sfer ciężkiej burżuazji, z alzackich *Lodzermensch*'ów. Podczas wojny dekował się jako tłumacz przy sztabie angielskim. Stąd w jego powieściowych robotach modny, snobistyczny kult dla Anglji i kokietowanie zanglizowaniem, typowa, ulubiona nie tyle postawa ile poza bogatych Żydków paryskich. Zwąchawszy nosem wnętliwym antydemokratyczne nastroje w szerokiej publice, zaczął od... „*Dialogues sur le commandement*". Gdy się już poczuł na siłach i miał zapewnioną reklamę lejbliteratów Schylockracji, wypisywał biograficzną apoteozę najantypatyczniejszej figury, jaką znają dzieje W. Brytanji tj. d'Israelego — Beaconsfielda, idealizują do niemożliwości tytana arogancji, szczęściarza, intryganta i perwersyjnego grafomana. Poprostu z trzydziestu starych książek rozmaitych Żydów angielskich, tureckich, niemieckich, wydestylował nową książkę, poczem nie spoczywając na laurach wziął się natychmiast do paszkwilu na Shelleya: Niby to jest też romans o Shelleyu, ale w gruncie rzeczy Judaszowskie „podejście" *(Ni ange ni bête)*, gdzie cały nacisk reportera-monografa położono na wyjaskrawienie „ziemskości" Ariela, jego życia nieskoordynowanego, nieporządnego, bezwładnego, burzliwego, chaotycznego. Należyte odprawy daje nieprzyjemnemu Tartuffe'owi po każdem jego dziele niestrudzony, nieznużony George Batault, wykazując mu w „*Mereure*" stale blagę, plagjaty, reporteryzm, efekciarstwo, blichtr i szwindle. Inni boją się tknąć potentata, za którym murem stoi Schylockracja.

Bardziej ekspansywny, dynamiczniejszy i bezczelniejszy jest berliński typ komiwojażera dyktatury. U tego „*essey*'isty" przeważają zainteresowania polityczne.

Zaczął też od Goethego, poczem portretował Rembrandta, Beethovena Balzaca, Webera, a kiedy mu już usłużne wassercukry wyrobiły renomę malarza dusz „z precyzją Velasqueza" wziął się do wielkich politycznych konterfektów Wilhelma II („objektywne" „podejście"), Bismarcka, wreszcie Napoleona. Tendencja? udowodnić Aryjczykom, że Semityzm przestaje protegować radykalną demokrację i jej dążenia a staje po stronie wielkich indywidualności, mających bat w ręku. Zapomnijcie nam raz o Trockim, Nachamkesach i tych, co zgangrenowali Rosję, a przypomnijcie sobie... Disraelego, który postawił na nogi *British Empire!* Po każdej książce tego istotnie uzdolnionego reportera najwyższy klasy, belletrystycznego kokieta i zbieracza śmietanki z dzieł już napisanych, odzywały się, *unisono* oczywiście, wszystkie jerychońskie trąby wszystkich *blattów*. Z eklektyka i kolekcjonisty, facecjonisty i fejletonisty zrobił międzynarodowy zespół prasowych mocarzy anonymowych „*eine Weltberühmheit*". O tysiącu świetnych twórców, dramatystów, powieściopisarzy, liryków nie zapyta się pies czy djabeł z kulawą nogą — rajzendera Cohna zręczne eskamotaże, persyflaże i plagjaty, w nowym sosie czosnkowym podawane, znane są — tłumaczone na różne języki światowe. W Ameryce oczywiście był, Ford i Edison go przyjęli i wrócił z plombą.

Teraz ten wysoce nieprzyjemny berliński Żydek o perwersyjnym intelekcie równocześnie gra na dwóch strunach czy na dwóch fortepianach.

Zuchwałą łapą ważył się na bellestryczną trawestację żywota Chrystusa („Dzieje Syna Człowieczego"). W Niemczech w ostatnich czasach były takie próby powieściowo-biograficzne. Dał takie dzieło ze stylizowaną Chrystologją Walter von Molo, dał potem Wittig, katolik: „Życie Jezusa w Palestynie, na Śląsku (*sic*) i gdzieindziej". Nie miały zbytniego powodzenia. Nieudało się również zresztą Barbusse'owi przemalować Zbawiciela na prekursora bolszewizmu. Czelny tedy Cohn postanowił sobie „zbliżyć" Chrystusa do nowoczesności, wyjaskrawić to, co ludzkie, arcyludzkie. Dla polskiej, katolickiej publiczności przetłumaczył ten fałszowany wizerunek, ten bluźnierczy, bezczelny wypad berlińskiego rajzendera p. Hulka-Laskowski, chorąży agnostycznego protestantyzmu; wydała zaś firma obskurnego geszefciarza wiedeńskiego niejakiego Erdtrachta (Frank E.), która dotychczas robiła pieniądze na pornograficznych „monografjach" Messaliny, Pompadour... i t. p.

Tenci sam Żyd Emil Ludwig w ostatnich tygodniach „bawił" w Rzymie poczem w *Weltblatt*'cie firmy Ullstein w „*Vossische Zeitung*" dał sylwetki Papieża, Króla i Mussoliniego, przyczem choć tam szwindlarz „zastrzega się", ale już wyraźnie wonną myrrę pali...

Jeszcze tomy o „Dziejach Syna Człowieczego" nie rozprzedane a już sprytny i obrotny geszefciarz nowe obstalunki przyjął i stalugi nastawił. Ciekawe tylko, kogo teraz z owych trzech będzie portretował...

W jesieni pewnie zobaczymy go w Warszawie. O ile Chińczycy nie zamówią u niego „Konfucjusza"...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Ciekawych rzeczy dowiadujemy się o Pen-Klubie warszawskim z artykułu w „Gazecie Warsz." Instytucja ta, subsydjowana przez Skarb państwa, jak się pokazuje, uwagę ma zwróconą tylko na stosunki z Niemcami i za tom polskiej powieści, poza kosztami przekładu, dopłacają wydawcy niemieckiemu 6,000 zł. Dotyczy to powieści Kadena-Bandrowskiego, Goetla i Nałkowskiej (prezydjum Pen-Klubu). Co za osobliwa misja Polski, że aż państwo bierze ją na siebie, karmienia duchowego Europy dziełami Kadena-Bandrowskiego, które cuchną już w oryginale i na eksport się nie nadają. Że też nikt nie wytłumaczy parwenjuszom, że nie wypada się narzucać obcym ze swoją literaturą. Rzeczy wartościowe znajdą nakładcę przy staraniu prywatnem; nie potrzeba obciążać tem funduszu potrzebnego na propagandę. Zwłaszcza czułości z Niemcami należałoby pozostawić prywatnej inicjatywie amatorów.

*

Jedno z pism ilustrowanych w Warszawie zamieściło wizerunek Szymona Konarskiego (według portretu w zbiorach rapperswilskich) i nawet dało pod nim podpis: „Szymon Konarski". Ale u góry redakcja dała nadpis taki: „200-lecie reformatora szkolnictwa polskiego w Wilnie". W temże piśmie na odwrotnej stronie rysunek z podpisem: „W. Wyspiański". Korektor nie wie, jak na imię Wyspiańskiemu. Niechżeby w tem piśmie zrobiono błąd w nazwisku aktorki młodej—jakiby to był skandal! Jakto— powiedzianoby współpracownikowi—pan takiej rzeczy nie wiesz!

*

„Straż piśmiennictwa polskiego" mająca być zawiązkiem przyszłej Akademji literackiej, zmieniła swoje prezydjum. Prezesem został na miejsce Staffa — Sieroszewski, wiceprezesem zamiast Struga — Berent, sekretarzami na miejsce Z. Dębickiego— Kaden-Bandrowski i Goetel. Faktycznie Straż dostała się w ręce tych dwu pp. sekretarzy. Mamy więc dalszy ciąg Pen-Klubu. Cóż to za pułapki na literaturę?

NOWE KSIĄŻKI

Rybarski Roman. Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu. Tom II. Poznań 1929. Nakładem Tow. miłośników m. Poznania. S. 344.

Mickiewicz Adam. *L'homme eternel. Pages choisies en prose—avec préface de M. André Mazon et introd. de M. J. A. Teslar.* Paris 1929. Gebethner et Wolff. S. XVI i 265.

Palewski J. P. *Mickiewicz—ame de la Pologne.* Paris 1929. Gebethner et Wolff S. 56.

Smogorzewski Casimir. *La Pologne, l'Allemagne et le Corridor.* (Z 29 mapami, 5 diagr. i autogr.). Paris 1929. Gebethner i Wolff. S. 128.

Sikorski Antoni. Teatr w Pułtusku. Sekcja dram. urzędników, 1919—1929. Pułtusk 1929. Nakładem Sekcji Urzędników. S. 21.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha wyszły:

Bougaud ks. bisk. Jezus Chrystus. Wyd. II. S. 533.

Stjernstedt Marika. Ullabella. Powieść. Przekład A. Szottowej.

Krawczyk M. ks. Graj pieśni. Zbiór pieśni na uroczystości narodowe—do użytku chórów (nuty z tekstami).

Nakładem Tow. „Roju" wyszły:

Kretowicz Bron. O czem szumi Dewajtis. Opowieść litewska.

Zarzycka Irena. Ślubne pantofelki. Powieść.

Lepecki M. B. Oceanem, rzeką, lądem. Przygody z podróży po Argentynie.

Bibljoteczki hist. geogr. nr. 120 i 121.

Makarczyk Janusz. Amerykańska Karuzela. Powieść. Warsz. 1929. Bibl. Nowości. Wydawca St. Cukrowski.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

Do numeru niniejszego dołączamy blankiety P. K. O. (konto czekowe 3.105) celem ułatwienia wpłat za prenumeratę.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM